



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XVIII CZWARTEK, 18-25 grudnia 1958 r. NR. 51/2 (859/60)

NUMER POŚWIĘCONY
ROCZNICY POWSTANIA
WIELKOPOLSKIEGO

W numerze piszą m. in.:

Gen. W. Anders, M. Cybulski, T. Felsztyn, P. Hęciak, Cz. Jeśman, S. Klinga, S. Legeżyński, gen. Z. Łąkiński, Z. Nadratowski, M. Paszkiewicz, S. Piekut, R. Piestrzyński, Z. Stahl, L. Surzyński, J. Tokarski.

OSOBA BOGA WCIELONEGO

„A to się wszystko stało, aby się wypełniło, co było powiedziane od Pana przez proroka mówiącego...“
Takię słowa często przewijają się przez ewangelię w odniesieniu do Chrystusa Pana. Ewangelista, przede wszystkim św. Mateusz, wskazują w ten sposób, że nie tylko Jego przyjście, ale i różne wydarzenia z Jego życia i działalności były przepowiedziane od wieków.

Stary Zakon bowiem, jak napisze św. Paweł w liście do Galatów, „był wychowawcą naszym w Chrystusie“. Apostoł używa greckiego słowa „pedagog“. Pedagogiem zaś w starożytności grecko-rzymskiej był wypróbowany starszy niewolnik, który opiekował się synami swego państwa, dopóki nie zostali oddani do szkoły. Takim więc pedagogiem była w myśl zamierzeń Bożych Synagoga. Jej celem było przygotowanie ludzi na przejście do „szkoły“-Kościoła. Była ona „pedagogiem w Chrystusie“. A więc w tajemniczy sposób działała w niej i przez nią Druga Osoba, Logos Ojca, Mądrość Niestworzona. Już przed Wcieleniem prowadziła pracę przygotowawczą na Swoje przyjście na ziemię.

Ojcowie mówiący tylekroć o tej działalności przygotowawczej Drużej Osoby na własne przyjście, używali nieraz terminu „Logos Paidagogos“. Byli niestrudzeni w wykazywaniu, że Słowo nie ograniczało swego niewidzialnego działania wychowawczego do Synagogi, lecz obejmowało również ludzkość pogańską. Zwłaszcza kładli na to nacisk pisarze kościelni pochodzący z obszarów hellenistycznych, sami będący spadkobiercami kultury greckiej. Stawili tedy tę kulturę, podnosili jej piękno i kierowali uwagę przede wszystkim na prawdy, zawarte w systemach filozoficznych, widząc w wielu z nich nawet intuicję głównych tajemnic chrześcijaństwa. Podkreślali też — w przeciwieństwie do łacińskiego ekstremisty Tertuliana — pożytek ze studium i przyswojenia sobie filozofii pogańskiej przez chrześcijan.

Klasyk dla tej postawy są słowa genialnego Origenesa, który powiedział: „Uczniowie filozofów mówią, że geometria, muzyka, gramatyka, retoryka, astronomia są niezbędnymi towarzyszkami filozofii. My zaś mówimy to samo o filozofii w odniesieniu do chrześcijaństwa“. Uważano, że czym księgi święte ze względu na prawdę o Bogu były dla Żydów, tym dla pogan stała się filozofia. Filozofowie więc, zwłaszcza tacy jak Platon, mieli w tym układzie niemal paralelnym, rolę analogiczną do proroków. Kloniąc się przed pięknem i głębią prawdy w ich systemach zawartej, niektórzy pisarze starochrześcijańscy skłonni byli nawet przypuścić, że owi pogańscy myśliciele musieli też mieć pewien udział w przeżyciu tajemnic Boskich, rodzaj wewnętrzny jeśli nie objawienia, to sekretne oświecenia. Dlatego też Ojcowie tak niestrudzenie dowodzili prawdy słów Apostoła Pogan, że Chrystus Pan zjawiał się w „pełni czasów“: „A gdy nastąpiła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna Swego“ (Gal. 4, 4). I że tę pełnię czasu, tę gotowość przyjęcia ewangelii

przez ówczesny świat, sprawiła przez wieki trwającą działalność Syna Bożego wpływającego tajemnie na serca i umysły ludzkie.
W ramach tego optymistycznego poglądu — tym bardziej zastępującego na podkreślenie, że powstał w czasach, kiedy świat pogański naukę Chrystusa przesładował — chrześcijaństwo jawiło się jako uniwersalna odpowiedź na wszystkie najwznioślejsze przecucia i najpiękniejsze tęsknoty myślącej, szukającej i cierpiącej ludzkości. W czasach późniejszych i aż do niedawna wskazywano raczej nie na to, w jakim stopniu chrześcijaństwo przychodziło jako wypełnienie, ale jako przeciwieństwo, *signum contradictionis*. Lecz pod wpływem wielu czynników, w ostatnich latach powrócił znowu ów problem optymizmu Ojców, problem, żeby tak powiedzieć, *ciągłości* chrześcijaństwa ze wszystkim, co gdziekolwiek, w kulturach i religiach, jest dobrem i prawdą.
Oczywiście problem ten występuje dziś w zmienionej postaci, ale nie o to nam w tej chwili chodzi. Warto tylko dodać, że został on zaktualizowany przez dzisiejszą rozległą akcję misyjną i odmienny stosunek do kultury i cywilizacji pozaeuropejskich, niż ten, który jeszcze występował przed paru dziesiątkami lat. Krótko mówiąc, dziś już nie popelnia się dawnego błędu, aby nowych chrześcijan pozaeuropejskich wyrwać z ich własnych kultur, bo chrystianizacja nie jest, i nie może być, europeizacją. To zaś spowodowało rozległe zainteresowanie kulturami i religiami innych ludów i ras ze względu na te ich walory, które są bliskie chrześ-

cijaństwu i mogą, albo powinny być, nadal, przez nowych chrześcijan respektowane na równi z ich niechrześcijańskimi współbraćmi. I przyniosło też znowu — bo na tej drodze dawno już, w XVI i XVII stuleciu, byli jezuiti w swych misjach azjatyckich — niezmiernie złożony wielostronny problem odpowiedniej adaptacji chrześcijaństwa, które nie tylko może ale musi wszędzie na świecie być religią „własną“ a nie obcą, „zamorską“ czy „zachodnią“.
Wszakże choćby nie wiedzieć jak daleko posuwano adaptacje w nauczaniu chrześcijaństwa, choćby nie wiedzieć jak silnie podkreślano jego „ciągłość“ i wskazywano na rolę wypełnienia, przecież w pewnej chwili pomiędzy nawet najpiękniejszymi systemami myślowymi i religijnymi a chrześcijaństwem zaczyna się przepaść; i to dosłownie — przepaść nieskończona. Co jest tą przepaścią? Co ją stanowi? Co jest tym czymś *absolutnie* nowym w chrześcijaństwie w odróżnieniu od każdej innej religii?
Na to pytanie usiłował dać odpowiedź ojciec Jean Danielou T. J. w swoim dziełku o adwencie. I pisze on, że tym czymś absolutnie nowym jest to, że chrześcijaństwo „jest z istoty swej życiem a nie filozofią“. Dla nas być chrześcijaninem jest to żyć po bożemu, to znaczy: mieć w sobie Łaskę i mieć bliskość z Bogiem“ (str. 8 przekł. angielskiego). Lecz nie wydaje się, aby znamienity teolog szczególnie sformułował tę różnicę.
Owszem, także Chrystus Pan w rozmowie z Nikodemem powiedział, że

(Dokończenie na str. 12)

Drodzy Koledzy,

Dorocznym zwyczajem zwracam się do Was w przededniu świąt Narodzenia Pańskiego, kiedy wszystkich ludzi dobrej woli łączą wspólna odwieczna tradycja tego wielkiego święta świata chrześcijańskiego.

Dobiega końca jeszcze jeden rok naszego pobytu na obczyźnie, naszego oczekiwania, aby dla naszej umęczonej Ojczyzny spełniły się słowa: Bóg się rodzi moc truchleje.

Upełniło już 19 lat od czasu zaprowadzenia na ziemiach polskich najzłodszej przemocy. Wbrew pochopnym złudzeniom i przesadnej nadziei sprzed dwóch lat, więzy niewoli nadal trwają. Krajem rządzą nadal wierni wykonawcy woli Sowietów.

Niedawno obchodzono przez nas czterdziestą rocznicę odzyskania niepodległości jest i powinna pozostać źródłem otuchy i pobudką do właściwej oceny naszej przyszłości. Tak jak wtedy widzimy i dzisiaj, że sytuacja międzynarodowa, pomimo pozorów cech stałości nosi w sobie wyraźną zapowiedź zblizania się nowych wydarzeń na świecie. Nikt nie może zaprzeczyć, że istotą obecnego położenia jest narastanie dwóch wielkich sił, całkowicie sobie przeciwstawnych, z których jedna wyraźnie zapowiada że celem jej jest zapanowanie nad całym światem. Na naszych oczach kształtuje się i przybiera to nieublagane zmaganie, obejmujące dzisiaj już wszystkie niemal kraje na ziemi.

W tych warunkach obowiązki nasze są wyraźne: musimy być wiernymi i nieustępliwymi orędownikami woli narodu wobec świata wolnego. Nie ma miejsc wśród nas dla słabych duchem, obojętnych lub gotowych do pogodzenia się z wrogiem. Musimy utrzymać i rozwijać ducha walki o wolność Polski i wytrwałość wśród wszystkich przeciwności, tak właśnie jak utrzymuje tego ducha naród w Kraju, pomimo tylu lat wrogiej okupacji. Wiare i ufność możemy i powinniśmy czerpać przede wszystkim z postawy młodego pokolenia narodu. Pomimo że wyrosło ono już pod rządami zaborczymi i w ustroju komunistycznym, wiemy dobrze że nie zatraciło przywiązania do wolności i niepodległości, nie nawidzi Sowietów i jest odporne na propagandę ideologii komunistycznej.

Jak co roku, niebawem zasiądziemy do stołów wigilijnych, łącząc się myślami z wszystkimi naszymi bliskimi, a przede wszystkim skierujemy serdeczne życzenia do naszych Rodzin w Kraju. Wszystkim Kolegom-Zołnierzom i ich Rodzinom składam z serca idące życzenia świąteczne i noworoczne, prosząc Boga o przyspieszenie dnia, kiedy dobra nowina Narodzenia Pańskiego stanie się znowu radosnym świętem na wszystkich ziemiach wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej.

GENERAL W. ANDERS

London, w grudniu 1958 r.

WESOŁYCH ŚWIĄT i DOBREGO NOWEGO ROKU

zyczy
Redakcja i Wydawnictwo
„Orla Białego“



Rysunek Zygmunta Turkiewicza

ŻYCZENIA PRYMASA POLSKI NA BOŻE NARODZENIE ROKU PANSKIEGO 1958

Umiłowane Dzieci Boże!

Blaskiem prawdziwej światłości rozjaśnił Bóg noc ziemi naszej. Stało się to w dzień Bożego Narodzenia, na polu Betlejemskim. Dziś raduje nas i wyzwala „to nowe — wedle ciała — narodzenie Jedynego Syna“ Bożego, które wspomniamy w modlitwie Kościoła, w radościach świątecznych, w tradycjach rodzinnych, przy stole wigilijnym i przy Bożym drzewku. „Światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“, jest najgorętszym pragnieniem, najżywszą radością i pełnym szczęściem ludzi dobrej woli, jest chwałą na wysokości Bogu.

Potrzeba było, aby na ziemię przyszedł Syn Boży, by wyzwolił człowieka z niewoli grzechu, by nauczył go żyć na ziemi po Bożemu, by zapalił światło Dobrej Nowiny i ogniem Bożej Miłości ogarnął wszystkich. Dotąd żyjemy zbawczą mocą Jego Krzyża; dotąd chodzimy w świątłach Jego Ewangelii, dotąd ratujemy się duchem Jego Miłości. Odtąd ogłędamy człowieczeństwo i łaskawość Zbawiciela naszego, i krzepimy się prawdą, że Bóg obrał mieszkanie na ziemi wśród ludzi. Żyje On w Kościele Swoim, żyje w Chlebie Eucharystycznym, żyje w każdej duszy wiernej Łasce Bożej, żyje w Ewangelii i nauce Kościoła, żyje w obyczajach i tradycjach naszych, żyje w kulturze narodów, w chrześcijańskim sumieniu ludów, żyje w pragnieniach i tęsknotach wszystkich prawych serc i du-

chów! Nie przestaje być Światłością świata!

W liturgii swej Kościół woła do nas dziś: „Wstań, oświeć się, Jeruzalem“, a Ojciec Święty Jan XXIII potarcza za swoimi Poprzednikami na Stolicy Apostolskiej: „Oświecajcie! Oświecajcie! Oświecajcie!!!“. O światło wołamy, światła pragniemy! Światłem chcemy być.
Noc betlejemską światłem została wypełniona. I myśli, serca i czyny nasze niechaj wypełnią się Światłością! W światłości chodźmy! Wszystko, co nas otacza, niech czerpie z życia naszego światłości, abyśmy byli synami Światłości.
Światłość Chrystusowa, światło gwiazdy betlejemskiej i ołtarzy Pańskich, światłość Dziecka Bożego — niech się rozświeca w zrenicach oczu naszych i w głębi sumień naszych. Wtedy najgłębsza noc życia jako dzień rozświeci się.

Tej światłości serca życzę Wam, Najmilsze Dzieci Boże, w dzień Bożego Narodzenia, gdy dzieje się jak sercem z Wami wszystkimi białym opłatkiem, tym symbolem szczerzej woli, życzliwych dłoń i chrześcijańskiej wspólnoty.
Kłękam wraz z Wami przy Waszym żłobku, pod Bożym drzewkiem i wspólnie modlę się z Wami: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogostaw Ojczyznę miłą“...

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI
Prymas Polski

Gniezno—Warszawa, w grudniu 1958.

ZDZISŁAW STAHL

PO DYMISJI SIEROWA

MOŻNA BY powiedzieć, że gróźb... niebezpieczna dla szefów sowieckiej policji politycznej pora. W dniu 23 grudnia 1953 r. ogłoszono w Moskwie o rozstrzelaniu Berii, Mierkulowa i towarzyszy, dnia 24 grudnia 1954 opublikowano tamże wiadomość o likwidacji Abakumowa, a ostatnio dnia 9 grudnia dowiedzieliśmy się, że został zwolniony ze stanowiska gen. Iwan Sierow. Los tego ostatniego, według oficjalnej wersji, nie przedstawia się tak groźnie, bo równocześnie z dymisją zapowiedziano powierzenie mu innego stanowiska. Co prawda, te „inne stanowiska“ — Malenkowa, Molotowa, Kaganowicza czy Bułganina nie wyglądały zbyt pojętnie.

Jakie mogą być racje dymisji Sierowa? Czy stanowią zapowiedź złagodzenia czy zaostrożenia kursu, a — jeśli to drugie, to — wobec kogo? Czy stoi ona w związku z nadchodzącym w styczniu 21-szym, nadzwyczajnym kongresem partyjnym sowieckich komunistów? Zanim będzie znana osoba zastępcy i zanim dowiemy się, czy nastąpi zarazem jaka reorganizacja całego sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, sformowanego w obecnej postaci po śmierci Stalina i likwidacji Berii, wolno nam wnioskować jedynie na podstawie przesłuchania. Czyli, dziejów osobistych Sierowa i jego stosunków z poszczególnymi członkami rządzącej na Kremlu ekipy, za życia Stalina i po jego śmierci.

Uczeń Malenkowa, współnik Chruszczowa

Całe swoje życie człowieka dojrzałego Iwan Aleksandrowicz Sierow spędził, jako funkcjonariusz sowieckiej policji politycznej. Mając lat 21 wstąpił w 1926 roku do GPU i musiał się dobrze sprawić w swoim krwawym rzemiośle, skoro już w 1930 r. znajduje się w sekretariacie Stalina, na którego czele stoi wówczas Malenkow. W dwa lata później jego pierwszym, ważniejszym zadaniem jest krwawa rozprawa z powstaniem Kozaków kubańskich, których 40 tysięcy deportuje się następnie na Syberię pod nadzorem tegoż Sierowa, odtąd specjalistą od wielu tego rodzaju zbrodniczych operacji.

Rychło po tym Sierow występuje w charakterze szefa wojskowo-politycznej asysty Chruszczowa, wysłanego przez Stalina na Ukrainę dla jeszcze krwawszej, masowej operacji wielkich czystek na Ukrainie, będącej wówczas terenem przymusowej kolektywizacji. Za masowymi egzekucjami poszły wtedy również masowe deportacje ukraińskiego włościanstwa, głównie na dalszy wschód syberyjski. I jeśli Chruszczow zyskał sobie wtedy zasłużone miano kata Ukrainy, to Sierow był jego posłusznym wykonawcą, jako szef specjalnych oddziałów NKWD, jak wówczas nazywała się w Rosji policja polityczna.

Spec ludobójczych deportacji

W chwili wybuchu wojny 1939 r. I. A. Sierow jest już wysokim dygnitarzem Kremla i uznanym specem od masowych, ludobójczych deportacji ludności. Członek „Specjalnej Tajnej Sekcji Politycznej Państwowego Bezpieczeństwa“ powołanej przez Stalina i wicekierownik działu walki ze szpiegostwem należy do najbardziej zaufanych ludzi Kremla, którym powierza się najważniejsze zadania. Kierownictwo wielkich deportacji z Polski i państw bałtyckich od jesieni 1939 roku spoczywa w jego ręku i tak samo przeprowadza on w 1944 roku ludobójczą operację wysiedlenia i rozproszenia po bezkresach Syberii Tatarów krymskich, Czerkiesów, Ingusów i Kałmuków, jako ludów, które wykazały w latach wojennych tendencje niepodległościowe.

Do tego samego zakresu „mokrej“ specjalności należały znane nam, Polakom zadania, wykonane przez gen. Sierowa pod koniec wojny w Polsce. On to bowiem, według zgodnych opinii, krył się pod nazwiskiem gen. Iwanowa, który zwał w zasadzie, aresztował i następnie wywoził do Moskwy na Łubiankę w marcu 1945 roku szesnastu przywódców Polski Podziemnej, sądzonych po tym w osławionym procesie moskiewskim. Po wojnie delegowany jest Sierow też do nadzoru i represji w stosunku do obywateli sowieckich, powracających z niewoli niemieckiej i kierowanych masowo, jak wiemy, poprzez szereg specjalnych obozów dla nich specjal-

nie tworzonych, do więzień, łagrów lub na zesłanie. Ponadto kieruje budową kanału Wolga—Don, do którego niewolnicza praca więźniów była najważniejszym wkładem.

Na jego konto zapisana jest też nie bylejaką dla Moskwy zasługa wynalezienia i dostawienia po wojnie niemieckiej ekipy atomowych uczonych oraz speców pocisków kierowanych, którym Sowiety zawdzięczają dzisiaj poziom swego nowoczesnego uzbrojenia. Po wojnie I. A. Sierow posuwa się w kremlowskiej hierarchii jeszcze wyżej. Obsypany orderami, dochodzi do wysokiego stopnia generała i wiceministra NKWD, zastępcy członka Komitetu Centralnego. W chwili śmierci Stalina pełni odpowiedzialną funkcję szefa ochrony osobistej Kremla. Ta śmierć i następna likwidacja Berii z jego najbliższymi współpracownikami nie obejmują Sierowa, a nawet otwiera mu czasowo drogę do dalszego awansu. Widać w marcu 1953 r. w okresie śmierci Stalina chronił głównie bezpieczeństwo, ale... własne.

Z ramienia „zbiorowego kierownictwa“

Bezpośrednio po usunięciu Berii w czerwcu 1953 r. jego następcą zostaje, również stary enkawudzysta, gen. Krugłow. Na wiosnę 1954 r. jednak, kiedy za premierostwa Malenkowa i w okresie miodowych miesięcy postalinowskiego „zbiorowego kierownictwa“ dochodzi do reorganizacji sowieckiego aparatu i przekształcenia jego indywidualnego poprzednio kierownictwa na „komitet bezpieczeństwa państwowego“, odrębny od ministerstwa spraw wewnętrznych, na czele tego komitetu staje gen. I. A. Sierow. Z tej samej stalinowskiej szkoły, uczeń kiedyś Malenkowa i po tem współnik, w katowaniu Ukrainy Chruszczowa, stał się człowiekiem kompromisowym dla „zbiorowego kierownictwa“.

Odtąd, poprzez cztery lata i osiem miesięcy przetrwał Sierow na swoim stanowisku cały korowód zmian personalnych na Kremlu: dymisję Malenkowa, duumwirat Bułganin — Chruszczow, potępienie i wygnanie z Moskwy „grupy antypartyjnej“, wreszcie potępienie Żukowa i doczekanie się premierostwa Chruszczowa na wiosnę roku 1958. W tym całym czasie był powszechnie uważany na Zachodzie za wszechwładnego w nowych, choć ograniczonych uprawnieniach sowieckiej policji politycznej, jej szefa. Wrażenie to pogłębiały częste wyjazdy Sierowa za granicę, który towarzyszył zwykle oficjalnym wizytom pary Bułganin—Chruszczow, albo — jak do W. Brytanii na wiosnę 1956 r. — przybył pierwszy, celem kontroli środków bezpieczeństwa i następnie, na skutek protestów prasy brytyjskiej opuścił ten kraj przed samą wizytą.

Na jesieni 1956 r. został Sierow jeszcze raz użyty w zakresie swojej (awnej ludobójczej) specjalności na Węgrzech. Przybył tam z ramienia decydującego już wówczas na Kremlu Chruszczowa, aby mordować, aresztować i masowo wywozić do Rosji przywódców i uczestników powstania. Rola Sierowa w Budapeszcie potwierdziła przekonanie o doniosłości jego pozycji na Kremlu.

W rzeczywistości nie całkiem „swoj“?

Przed kilku tygodniami jednak, w rozmowie z korespondentem londyńskiego „The Daily Telegraph“, p. Dawidem Floydem, odbytej w Moskwie, Sierow oświadczył, że sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego nie należą do niego, lecz do Dudorowa, ministra spraw wewnętrznych. Zagadnienia policji politycznej, będącej — jak wiemy — w Sowiatach gigantycznym aparatem terroru, są zawsze trzymane w cieniu tajemnicy i trudno stwierdzić jak do tego doszło, lecz obecnie można wnosić, iż Chruszczow w ostatnich czasach stopniowo usuwał spod kompetencji Sierowa sprawy wewnętrzne, jako związane z gruntowaniem osobistej dyktatury. Proces taki, kiedy zakończony teraz dymisją, dowodziłby, że Chruszczow nie uważał Sierowa za zupełnie „swojego“ człowieka i że osobnik, wyznaczony na szefa „komitetu bezpieczeństwa“ w okresie „zbiorowego kierownictwa“ już mu nie odpowiadał. Jest to w świetle historii moskiewskiego jedynowładztwa zrozumiałe. Żaden despot Kremla nie może sobie pozwolić na osobiste wątpliwości odnośnie kierowników aparatu terroru.

Jeśli dla Sierowa skończyło się na dymisji i spokojnym odsunięciu na boczny tor, byłaby to jak na byłego szefa sowieckiej policji politycznej zupełna nowość. Dzierżyński w lipcu 1926 r. jako szef GPU umarł nagle w kilka godzin po wysunięciu gwałtownych oskarżeń pod adresem potężnej wtedy czołowych bolszewików, Kamieniewa i innych. Menżyński skończył w 1934 roku oficjalnie śmiercią naturalną, ale następca jego Jagoda, kiedy go likwidowano w 1938 r. został oskarżony m.in. o zamordowanie Menżyńskiego. Jeżow, po kilkumiesięcznych rządach szaleńczego w swojej krwawości, na sowieckie nawet stosunki, terroru zniknął nagle i został rzekomo zamknięty w domu wariatów. Beria, Mierkulow, Abakumow zostali rozstrzelani po śmierci Stalina.

Co dalej?

W chwili kiedy piszemy te słowa, następca Sierowa nie jest jeszcze oficjalnie wyznaczony. Niektórzy korespondenci zachodni przewidują nominację W. I. Ustinowa, funkcjonariusza sekretariatu partyjnego, którego Chruszczow jeszcze w 1953 roku wprowadził — według tychże informacji — do komitetu bezpieczeństwa państwowego, zapewne dla pilnowania Sierowa. Będzie to w każdym razie stuprocentowy człowiek Chruszczowa, zabezpieczający mu jego pozycję w przededniu XXI kongresu partyjnego, zwołanego na 27 stycznia roku 1959.

Odejście Sierowa, tego nominata ówczesnego „zbiorowego kierownictwa“ z kwietnia 1954 roku może być zapowiedzią złowróżbną dla zespołu „antypartyjnej grupy“ Malenkowa, Molotowa i towarzyszy. Wobec zachodniej opinii natomiast dymisja ta jest też mylnie oświetlana, jako nowa oznaka rzekomo łagodniejszego coraz kursu sowieckich rządów w rękę Chruszczowa.

WALNY ZJAZD ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

W niedzielę, dnia 14 grudnia odbył się w Londynie w Domu Kombatanta Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii. Na otwarcie przybyli członkowie Rady Trzech: gen. W. Anders, amb. E. Raczyński i gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący Egzekutywy A. Ciołkosz, członkowie Egzekutywy: Z. Stypułkowski, dr W. Czerwiński i K. Sabat, marsz. Podolski, przedstawiciel Rady Zjednoczenia Narodowego oraz gen. Z. Kopański.

Zjazd utworzył prezes Zjednoczenia S. Lis, witając członków Rady Trzech oraz przedstawicieli życia politycznego i społecznego oraz — biorących po raz pierwszy udział w Walnym Zjeździe — delegatów spoza Londynu, reprezentujących duże ośrodki zorganizowanego życia społecznego w Anglii: Bradford, Derby, Leicester, Rugeley i Manchester.

W imieniu Rady Trzech zabrał głos gen. W. Anders, witany serdecznie oklaskami. Zycząc uczestnikom Zjazdu owocnych obrad podkreślił wielką wagę rozszerzenia podstaw organizacyjnych Zjednoczenia przez szeroki udział organizacji spoza Londynu. Przypomniał, że wrogiem numer jeden jest nadal komunizm gen. Anders podniósł z naciskiem, że z tym wrogiem nie może być żadnych kompromisów. Widzimy błędy polityczne Zachodu, ale widzimy także, że Polska sama swej niepodległości nie wywalczyła i że w tej walce jest jej potrzebny Zachód. Nawiązując do ostatnich zmian personalnych w Rosji Sowieckiej gen. Anders stwierdził, że zwolniony niedawno szef Bezpieki w Rosji Sow., Sierow, był najbrutalniejszym wykonawcą woli Stalina, był także odpowiedzialny za deportację z Polski i państw bałtyckich, był wreszcie szefem szpiegostwa sowieckiego na cały świat. Mamy mocną wiarę, że sprawa Polski znowu dojrzeje, i że problem odzyskania pełnej niepodległości będzie znowu aktualny. Źródłem naszej wiary winien być Kościół katolicki w Polsce, młodzież w Kraju nienawidząca komunizmu i wyróżniająca się jednocześnie żarliwym patriotyzmem oraz warstwa robotnicza i włościanka. Na zakończenie gen. Anders podkreślił konieczność znalezienia drogi do młodzieży polskiej na emigracji,

STANISŁAW PIEKUT

KORONACJA PAPIEŻY

W DNIU 4 listopada br. Rzym przeżył niezwykłą uroczystość, przeżył jeden ze swoich dni historycznych, z których składają się dzieje Wiecznego Miasta i dzieje Kościoła.

Historia koronacji papieża, jak wiele innych tradycji kościelnych, sięga daleko w głąb wieków średnich. W początkach ery chrześcijańskiej, więc w starożytności i w pierwszych wiekach średniowiecza, wyboru biskupów, zatem i papieża, dokonywała najbliższa społeczność chrześcijańska czyli kler i wierni, przy czym nie istniały jakieś określone ceremonie. Zaczęła je tworzyć dopiero tradycja wieków, specjalnie od czasu, gdy papież, oddaleni tak bardzo od stolicy cesarskiej w Konstantynopolu, zaczęli skupiać w swoich rękach również władzę świecką zwłaszcza zaś od pierwszych podwalin Państwa Kościelnego. Wtedy również biskupi rzymscy poczuli, przy uroczystościach, używając specjalnego nakrycia głowy i innych oznak najwyższej władzy kapłańskiej.

Pierwsze wzmianki w tej sprawie pojawiają się w VIII wieku. Papież św. Sylwester otrzymał od cesarza mitrę „irigium“ jako symbol wolności po minionych przesładowaniach. W jakiś czas potem, w następnym wieku, pojawia się już korona królewska, a wkładają ją Leon IV (847-855) i Leon V piastujący godność papieża tylko przez kilka miesięcy. Ta korona królewska (regnum) była niewątpliwie następstwem związku Państwa Kościelnego i ugruntowania się władzy świeckiej.

Odtąd zachowane podobny papieżu, na monetach i w sztukach plastycznych, figurują z tiarą z jedną koroną, a następnie wieki dorzuca do niej koronę drugą i trzecią, tak że Benedykt XII (1334-1342) pojawił się z trzema koronami (triregno) i w takiej formie tiara zachowała się aż do naszych czasów.

Różne istnieją interpretacje symbolu trzech koron. Według jednych oznacza ją Kościół wojujący, oczyszczający, triumfujący, według innych Trójcę św. albo trzy cnoty chrześcijańskie: pokój, sprawiedliwość i miłosierdzie. Najlepszym wyjaśnieniem może być formuła wypowiedziana podczas koronacji: „Otrzymałeś tiarę zdobną w trzy korony,

umiej być Pasterzem ksiąząt i królów; Rektorem całej ziemi; Wikariuszem Pana Naszego Jezusa Chrystusa i Zbawiciela, któremu należy się cześć i chwala na wieki wieków“.

Każda interpretacja może mieć swoje uzasadnienie. W każdym razie używanie tiary z trzema koronami datuje się od sześciu wieków, jest więc utrwaloną tradycją tej najtrwalszej instytucji jaką znamy dzieje Europy — tj. Kościoła.

Sam akt koronacji przybrał w ciągu wieków formę solenną, przetworzył się w długą uroczystość, ku radości wiernych, którzy pragnęli w niej uczestniczyć i cieszyć się wybranym Pasterzem.

Ceremonie koronacyjne odbywały się początkowo na Lateranie, później, gdy centrum życia kościelnego przesunęło się do Watykanu, tam również miały miejsce i koronacje.

W dziejach tej pięknej tradycji nastąpiła zmiana po upadku Państwa Kościelnego, ściślej ze śmiercią Piusa IX. Papież czuli się więźniami Watykanu, stąd też i swoboda ich poruszania się i działalności świeckiej ograniczyła się do „Città Leonina“ (miasto papieża Leona, zwane tak od murów, którymi otaczał otoczyć Watykan). Wszystko, cokolwiek się działo wewnątrz tych murów, pozostawało oddzielone od świata otaczającego. Milczenie otoczyło te mury, na zewnątrz których poczynił się rozrastać Rzym królewski.

Dziesiąt lat upływa od śmierci papieża Piusa IX (1878). Od tego czasu sześciu papieżów zasiadało na Stolicy Piotrowej. Leon XIII, na znak naprężonych stosunków między Watykanem a rządem włoskim, ograniczył koronację tylko do grona najbliższego otoczenia. Zamiast w bazylice św. Piotra odbyła się ona w Kaplicy Sykstyńskiej, a z obcych brali w niej udział tylko nieliczni przedstawiciele rządów utrzymujących stosunki ze Stolicą Apostolską.

Św. Pius X pragnął odprężyć nieco istniejący stan między obu rządami i odświeżyć wiekową tradycję, dlatego uroczystość koronacyjną przeniósł do bazyliki, by wierni, razem z Pasterzem, mogli przeżywać uroczysty moment. Lecz kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa i kiedy Europa oraz tyle państw pozaeuropejskich znalazło się w stanie wojny, Benedykt XV wyczuł, że nie jest to odpowiednia pora do urządzania manifestacji, dlatego koronował się znowu w Kaplicy Sykstyńskiej i w szczyptym gronie wiernych. Taki stan na wpół żałobny, na wpół więzienny dotrwał aż do naszych czasów.

Zmienił go dopiero Pius XI, były nuncjusz apostolski w Polsce, normalizując traktatem laterańskim, w 1929 r., stosunki z rządem włoskim. Zmienił się również w tych 80 latach, od śmierci Piusa IX, oblicze Wiecznego Miasta. Wokół starych, tradycyjnych dzielnic Rzymu, poza Città Leonina i poza murami Marka Aureliusza (Mura Aureliane), rozrosło się miasto nowoczesne, hałaśliwe i wyczerpujące, jak wszystkie wielkie nowoczesne skupiska ludzkie, a powierzone daleko przewyższające miasto stare. Był to już Rzym nie tylko papieski, ale i zjednoczonego państwa włoskiego.

Istnieją więc, od dziesiątek lat, obok siebie dwie stolice. Tylko że Città Vaticana, w kontraście do otaczającego ją wokół nowoczesnego miasta, żyje tradycjami wieków, zapatrzona w swoją dwutysiącletnią historię. Mury tego małego miasta są świadkami tylu wielkich wypadków historycznych, kolejnych triumfów i przesładowań Kościoła, który dziś, po doświadczeniach ostatnich dziesiątek lat, specjalnie zaś po ostatniej wojnie, kiedy przyszło Kościołowi przeciwstawić się czarnemu i czerwonemu totalitaryzmowi, jawi się znowu silny i trwały jak przed wiekami.

Świadectwem tej siły była ostatnia koronacja, druga z rzędu po traktacie laterańskim. Pięćdziesiąt państw wysłało swoich przedstawicieli na uroczystość oficjalnego obejmowania najwyższej władzy kapłańskiej przez Jana XXIII. Za wyjątkiem państw z zażelazanej kurtyny, rządy europejskie były reprezentowane przez swoich delegatów prawie w komplecie. Stawiła się również cała Ameryka oraz niektóre państwa azjatyckie i afrykańskie. Tysiące wiernych zapelniało bazylikę, plac św. Piotra i via Conciliazione. Ogółem oblicza się, że ponad dwieście tysięcy ludzi uczestniczyło w uroczystościach koronacyjnych.

Dzień wybrany na koronację nie był przypadkowy. W dniu tym Kościół czei wielkiego nauczyciela i wychowawcę, św. Karola Boromeusza, któremu ks. Anioł Józef Roncalli, a obecny Ojciec Święty Jan XXIII, poświęcił długie lata studiów i dla którego ma kult szczególny.

ZAMIAST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH

złożyli ofiary na Skarb Narodowy: gen. Anders, amb. E. Raczyński, kpt. E. Lubomirski; na Macierz Szkolną: gen. W. Anders, amb. E. Raczyński, gen. S. Kopański, kpt. E. Lubomirski, (p.h.)

PRZED laty przybył do Poznania głośny swego czasu historyk francuski Emile Bourgeois, autor trzytomowego dzieła „Manuel historique de politique étrangère“.

Na przyjęciu w Bazarze popelnilem nieostrożność, zadając znakomitemu uczonemu pytanie, co sądzi o wydanej właśnie w Paryżu książce „Histoire de France“ Bainville'a. Mimo, że o dziele tym głośno było we Francji i w Europie prof. Bourgeois popatrzył na mnie ze zgrozaniem, a zarazem z politowaniem. „Mais, mon cher Monsieur, „Histoire de France“ de Mr. Bainville ce n'est pas la vraie Histoire“.

Myślałem, że uprzedzenia polityczne dyktują uczonemu francuskiemu takie pogardliwe osądzenie świetnej w swoim rodzaju pracy francuskiego pisarza. Bainville był monarchistą, współpracownikiem „L'Action Française“, gdzie codziennie zamieszczał króciutki artykuł, przeważnie z dziedziny polityki międzynarodowej. Można się było nie zgadzać z tezami artykułów Bainville'a, ale czytał je cały świat polityczny Francji. Pod względem jasności myśli, logiki, konsekwencji, zwięzłości stylu, były arcydziełami kunsztu publicystycznego.

Takie same zalety posiadała jego „Historia Francji“. Nie była to historia, pisana na modłę konwencjonalną, podręcznikową z wymienieniem wielu szczegółów, dat, stoczonych bitew, zawartych traktatów, wszystko w miarę męczące i nudne. Książka zawierała za to podany w sposób wysoce interesujący i pasjonujący pogląd Bainville'a na dzieje Francji. Była książką z tezą. Pod tym względem przypominała „Dzieje Polski“ Bo-brzyńskiego.

Później metoda pisania historii według wzorów Bainville'a zaczęła się przyjmować również i w Polsce. Pojawiały się różne tego typu „Historie Polski“. Nie miały one większego powodzenia. Nie dorównywały swemu wzorowi. Tezy autorów bądź nie miały oparcia w faktach, bądź te fakty były przez nich dobierane zbyt jednostronnie. Całość nie wypadła interesująco. Warunkiem sukcesu tego rodzaju prac jest posiadanie przez autora własnego, oryginalnego poglądu na dany okres dziejów, poglądu opartego jednakże na faktach.

Książka Pawła Zaremby „Historia Stanów Zjednoczonych“¹⁾ napisana jest do pewnego stopnia podobna metodą do pracy Bainville'a. Osiąga też pożądane efekty.

Przede wszystkim wywód autora nie jest podany w sposób nużący, na wzór podręcznikowy, suchy. Od pierwszych stron tego pokaźnego dzieła czytelnik jest wciągnięty w lekturę barwnej opowieści o „wielkiej przygodzie“ tych kolonizatorów, pionierów i emigrantów, którzy stworzyli naród amerykański i zbudowali największe mocarstwo świata. Autor przepięta wartyk opowiadanie o tej niezwykłej epopei żywym opisem folkloru amerykańskiego i zmian, jakie w nim następowały, dając sylwetki korowodu prezydentów Stanów, generalów, polityków, magnatów finansowych, którzy zaważyli na historii Ameryki. Anegdotyczna nieraz nuta w opisie dodaje żywości otrzymanemu obrazowi i pozwala wczuć się w atmosferę przedstawianego okresu.

Dzięki żywej narracji autor osiąga najważniejszy efekt: czytelnik polski — dla niego bowiem książka jest napisana — zakończy tę pasjonującą lekturę, zdobywszy lepszą znajomość Ameryki i jej ducha, lepiej orientując się w jej problemach. Książka nasunie mu też wiele własnych spostrzeżeń i uwag.

„Historia Stanów Zjednoczonych“ Pawła Zaremby zapewniła dotkliwą lukę w literaturze polskiej. Ostatnia bodaj tego rodzaju praca Szelagowskiego była powierzchniowa i jest już przestarzała. Autor nawet jej nie wymienia.

Przyczyny powodzenia

Już same nagłówki dane kolejnym częściom książki: Rewolucja — Federacja — Dom Podzielony — Kontynent — Mocarstwo — wskazują na drogę, przebytą przez naród amerykański w przeciągu niespełna 200 lat i osiągnięte wyniki tego fascynującego marszu. Co było przyczyną tego powodzenia? Autor wymienia tych przyczyn wiele. Za podstawowy uważa geniusz anglosaski, zmysł organizacyjny tej rasy, przyjęcie angielskiego Common Law, uznającego równość i wolność osobistą za podstawę układu społecznego.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

NA MARGINESIE „HISTORII STANÓW ZJEDNOCZONYCH“

Prezydent

Szły za ocean żywioły pionierskie, zdobywcze, awanturnicze nawet, które znajdowały kraj zasobny w bogactwa naturalne o ogromnych przestrzeniach, dający poczucie swobody i nieograniczone pole do ekspansji na kresy — na zachód. Warunki te sprzyjały wytworzeniu się typu Amerykanina — człowieka wolnego, rzutkiego, przedsiębiorczego, dobrego organizatora i optymistę. Słusznie Zaremba uważa optymizm za jedną z przyczyn powodzenia amerykańskiego. Ale jest też inny powód sukcesu Amerykanów: nikt z zewnątrz nie przeszkadzał im w urządzaniu się na nowym kontynencie.

Geniusz organizacyjny

Zmysł organizacyjny Amerykanów jest ogólnie znany. Wykazali go w przemyśle, w życiu gospodarczym i w ogóle w produkcji. Zaremba zwraca szczególną uwagę na bezprzekładne wyniki, jakie osiągnęła wzorowa organizacja przemysłu w czasie ostatniej wojny, kiedy produkcję przestawiono szybko i sprawnie na cele wojenne. Osiągnęła ona gigantyczne rozmiary. Stany Zjednoczone stały się istotnie arsenałem walczącej koalicji (wraz z Rosją Sowiecką). Dzięki temu głównie koalicja ta wojnę wygrała.

Pogląd Amerykanów na wojnę zrodził się w czasie tak zw. wojny secesyjnej (1861—1865), która miała przełomowe znaczenie w historii St. Zjednoczonych. Adolf Bocheński mówił mi, że nie zrozumie się Ameryki nie przeczytawszy słynnej powieści Mitchell „Przemienię z Wiatrem“, osnutej na tle tej wojny. Zaremba pisze, że wojna „wywarła wpływ przenikliwy na filozofii politycznej przyszłych Stanów Zjednoczonych“. Rozdziały, które autor poświęca temu dramatowi należą bez wątpienia do najlepiej napisanych. Zdaje się, że miałby on na ten temat sporo jeszcze do powiedzenia. Czytelnik zajmujący się zagadnieniami wojskowymi, a zwłaszcza książką Zaremby wiele interesującego materiału.

„Dopiero ta wojna — pisze autor — dała światu doktrynę wojny totalnej, uczyła operować milionowymi masami, stosować środki techniczne, kolejnictwo, telegraf, prowadzić operacje desantowe i amfibijne, fortyfikacje polowe, ciągnące się na liniach frontów o długości kilkudziesięciu kilometrów. Ona dopiero nauczyła zasad „logistyki“, opierania się o bazy zaopatrzenia, położone o setki kilometrów poza frontem. Ona dopiero wprowadziła pojęcie ciągłości kampanii zamiast oderwanych bitew. Ona rozwinęła zasadę walki ogniowej, zmieniła taktykę, zorganizowała sztaby, przewyciężyła w umysłach dowódców strach przestrzeni i nauczyła ich koordynacji zasad walki obronnej z zasadami manewru na szerokim froncie, z zagonami w głąb“.

W czasie wojny secesyjnej, zrodziła się amerykańska doktryna wojenna. Wówczas powstało pojęcie „demokracji pod bronią“. Wojna secesyjna była pierwowzorem wojny totalnej, okrutnej, bezlitosnej, prowadzonej wszystkimi siłami, które były do dyspozycji, kierowanej przez jednego człowieka — Lincolna i zakończonej „bezwartunkowym poddaniem“. „Unconditional surrender“ weszło tym samym do amerykańskiej doktryny wojennej. Amerykanie uważają, że walkę muszą zakończyć bezwartunkowym poddaniem się przeciwnika, by wojna mogła być naprawdę zwycięską. Taki był epilog drugiej wojny światowej. Prez. Wilson był atakowany za to, że po pierwszej wojnie światowej nie wymusił na Niemcach bezwartunkowej kapitulacji. Zarzuty te stawiali mu wybitni Amerykanie m.in. głównodowodzący wojsk amerykańskich we Francji gen. Pershing, sen. Lodge, b. prezydent Teodor Roosevelt.²⁾ Również istniejące w Ameryce podświadome przekonanie, że wojna koreańska nie była zwycięską dla Stanów Zjednoczonych wpływa prawdopodobnie stąd, że nie doprowadziła do „bezwartunkowego poddania się“ komunistów.

W każdym razie zdumiewające przygotowanie Amerykanów teoretyczne, psychiczne i organizacyjne do prowadzenia wojny 1941—45 tłumaczy się w dużym stopniu naukami i doświadczeniem wojny secesyjnej.

Przejawem najwybitniejszym wrodzonego zmysłu organizacyjnego Amerykanów jest rozwiązanie problemu ustrojowego w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza wytworzenie silnej władzy prezydenta.

Jeżeli w Europie w w. XIX i XX następowało pod wpływem III Republiki francuskiej nieustanne ograniczanie władzy głowy państwa i rządów — w czym dopatrują się niektórzy przyczyn politycznego upadku naszego kontynentu — w Ameryce ewolucja poszła w odwrotnym kierunku i dzięki temu Stany Zjednoczone są tym, czym są.

Autor zagadnienie to omawia szczegółowo, powraca do niego w toku swego wykładu wielokrotnie, niejako wbił w głowę czytelnika, słusznie uważając, iż jest ono podstawowe dla zrozumienia istoty ustroju amerykańskiego. Zaremba tłumaczy więc jak się wykształciła władza prezydenta, jak związała się organicznie z życiem demokracji amerykańskiej i z systemem dwupartyjnym w Stanach Zjednoczonych i jak dalece sukcesy Ameryki w danym okresie zależą od tego, czy na czele Unii stoi jako prezydent człowiek silny. Prezydent jest jedynym dygnitarzem w Stanach, którego wybierają wszyscy wyborcy, jest więc „głosem ludu“, „trybunem ludu“, co siłą rzeczy zapewni mu wpływ przemowny w ramach konstytucji. Konstytucja bowiem, stojąc na gruncie podziału władz, zapewniła władzy ustawodawczej (Kongresowi) i władzy sądowej zakres kompetencji, których prezydentowi naruszać nie wolno. Z drugiej strony ustaliła się wykładnia konstytucyjna, że prezydent przy pełnieniu swych funkcji może robić wszystko, czego mu konstytucja wyraźnie nie zakazuje. Prowadziło to i prowadzi do nieustannego rozszerzania uprawnień prezydenta. Oczywiście ewolucja ta nie odbywała się bez ostrych walk Prezydenta z Kongresem lub z Sądem Najwyższym.

By jednak zrozumieć mechanizm ustrojowy amerykański, trzeba pamiętać, że partie polityczne, których „nie można przyrównać do stronnictw w innych krajach“ stały się składnikami ustroju amerykańskiego. Prezydent jest wybierany jako kandydat jednego z dwóch stronnictw, lub raczej jako przywódca stronnictwa. Już Jefferson potrafił połączyć te dwie funkcje: głowy państwa i przywódcy partii będącej w większości.

„Od jego też czasów — stwierdza Zaremba — miarą wartości Prezydenta będzie umiejętność zespolenia w swoim ręku tych dwóch funkcji — słabym prezydentem będzie każdy, kto nie jest rzeczywistym przywódcą partii, im mocniejszy zaś jest jego wpływ na kierownictwo i szeregi swych stronników tym pochlebniejsza o nim opinia historii“.

„Ilekroć — pisze na innym miejscu — wodzem partii będzie człowiek silny, tylekroć maszyną polityczną w Ameryce funkcjonować będzie bez zarzutu. Gdy partia wyniesie na fotel prezydencki figuranta, bezwolnego w ręku kamarii, będzie to bez pożytku dla kraju, a jednocześnie ze szkodą dla partii, w której tendencje odrodkowe wezmą wówczas górę nad jej zwartością“.

Nurt Jeffersona i nurt Hamiltona

Wypowiedziano w pewnej recenzji pogląd, że książka Zaremby pomija omówienie rozwoju życia gospodarczego i społecznego Amerykanów. Odniosłem wręcz przeciwne wrażenie. Wychodząc ze słusznego założenia, że bogactwo jest jednym z czynników potęgi St. Zjednoczonych autor poświęca rozwojowi kapitalizmu w Ameryce i jego ewolucji w kierunku upowszechnienia wiele wyostrzonej uwagi i sporo miejsca z uszczerbkiem, moim zdaniem, dla osiągnięć w dziedzinie duchowej, naukowej, filozoficznej a nawet artystycznej.

Zdobycze te są przecież niemałe i one również, o ile nie przede wszystkim, zapewniły wielkość Ameryki w świecie, fascynując świat umysłowy, zwłaszcza Europy. Dość powiedzieć, że już Adam Mickiewicz w swych wykładach paryskich pierwszy zwrócił uwagę opinii francuskiej na pracę i dzieła filozofa amerykańskiego Ralpha Waldo Emersona (1803—1882), z którym korespondował i którego nazywał „filozofem, co najlepiej ujawnia potrzeby naszego wieku.“³⁾ Również

pragmatyzm, jako koncepcja filozoficzna, wyrosła w Ameryce, miała światowy rozgłos i wywarła wielki wpływ we wszystkich niemal krajach (w Polsce — W. Lutosławski). Podobne afiliacje, podkreślające rolę Ameryki na polu umysłowym, można wyszukać we wszystkich dziedzinach wiedzy.

Niemalby również okazał się wpływ amerykański na organizację życia międzynarodowego i prawo międzynarodowe (Liga Narodów, ONZ), a w sprawach ustrojowych wewnętrznych, zwłaszcza po załamaniu się wzorca francuskiego, demokracji o skrajnych rządach parlamentarnych i wielopartyjnych, wpływ amerykańskiego prawa konstytucyjnego okazał się przemowny. Stany Zjednoczone są przykładem demokracji rządnej, która umożliwia wolność człowieka, praworządność, swobodę krytyki połączyć z istnieniem silnej władzy wykonawczej. Stany zaprzeczyły powiedzenie, że demokracja to jest ustroj o zasadniczo słabym rządzie.

Te i inne osiągnięcia amerykańskich przywódców duchowych i politycznych świadczą, że dokonywała się tam zawsze i dokonuje twórcza praca umysłowa i że przy wznoszeniu gmachu potęgi Stanów, przy pobieraniu zasadniczych decyzji wartości duchowe, idealistyczne brały górę nad materialistycznymi. Inaczej zresztą eksperyment amerykański nie mógłby się udać w sposób tak imponujący. Pieniądz spełnia ważną rolę w życiu społecznym i politycznym, lecz tylko w roli narzędzia. Gdy uzyskuje głos decydujący w sprawach nadrzędnych, tam zabija i powoli rozkłada zamierzenia i przedsięwzięcia typu politycznego.

Nurt idealistyczny w życiu amerykańskim wywodzi się — jak trafnie podkreślił autor — od wielkiego Jeffersona, nurt materialistyczny od jego rywala Hamiltona.

„Gdy myśli się dziś — pisze Zaremba — o potęgę materialnej i gospodarczej Stanów Zjednoczonych wymienić trzeba imię Hamiltona; gdy myśli się o wolności, równości i prawie do równego startu, w pamięci staje nazwisko Jeffersona“.

Nurt Jeffersona jest, moim zdaniem, najważniejszy. Widzimy to zwłaszcza obecnie. Chrześcuz może obiecywać swym niewolnikom, że w którymś tam roku produkcja masła w Sowietach osiągnie poziom amerykański, ale Chrześcuz nigdy nie będzie usiłował rywalizować ze Stanami na polu rozprzestrzeniania wolności w granicach swego imperium. W tej dziedzinie zwycięstwo Ameryki jest z góry zapewnione.

Amerykańskie zagadnienia gospodarcze i społeczne są oczywiście doniosłe i dobrze się stało, że czytelnik dowiaduje się z książki Zaremby wiele ciekawych danych z tej dziedziny. Trafnie autor wyprowadza niebawmą rozwój kapitalizmu z wpływu protestantyzmu, a ściślej, purytanizmu na umysłowość amerykańską. Filozofia purytańska wynosiła „skrzętność, gospodarność i solidarność kupiecką na piedestał cnót chrześcijańskich“. W dobrobycie, w zamożności widziała znak łaski Opatrzności. W oparciu o takie założenia moralne i mając do dyspozycji kraj olbrzymi i z natury zasobny, Amerykanów ogarnęła szybko gorączka bogacenia się.

Autor podaje dzieje kapitalizmu amerykańskiego, historie wielkich fortun, wielkich przedsięwzięć, a jednocześnie nieograniczonych możliwości kapitału, żarzących i nieubłaganych walk konkurencyjnych między kapitalistami, gorączki spekulacji, której uległ już nawet Jerzy Waszyngton, wszelkich nadużyć, wynikających ze swobody, jaką cieszył się kapitał, powstawania monopolu, trustów i koncernów, dyktujących ceny i płać, wobec których władza publiczna była bezsilna, wyszuku pracy, wytworzenia się warstwy proletariatu i nędzy miejskiej itd. itd.

A jednak to wszystko należy już do przeszłości. Społeczeństwo amerykańskie samo zdołało się uporać z objawami anarchii kapitalistycznej i niesprawiedliwości społecznej. Reformy odbyły się bez rewolucji, bez politycznej walki klas i bez domieszki komunizmu, choć były poprzedzane wstrząsami socjalnymi na niemałą skalę. Przede wszystkim sami robotnicy, dążąc do poprawy bytu, zajmowali stanowisko praktyczne, a nie doktry-

nalne. Nie dążyli do stworzenia własnej partii politycznej.

Na tych założeniach opierała się działalność związków zawodowych i ich Federacji z Samuelem Gomperssem na czele. Federacja pragnęła działać na porozumieniu z kapitałem, a nie w walce z nim, chcąc niejako jego dobrodziejstwa rozciągnąć na robotników, którzy w gruncie chcieli uzyskać możliwość zostania również kapitalistami. Z drugiej strony reformy społeczne podejmowane były nie tylko przez „idealistów“, lecz przez tradycyjne partie i przez wybitnych prezydentów z republikaninem Teodorem Rooseveltem na czele. On „położył tamę najbardziej wybujałym przerwom indywidualizmu i kapitalizmu“. Reformy podjęte przez demokratę Franklina Roosevelta w postaci „New Deal“ szły po tej samej linii, pogłębiając ją.

Stany Zjednoczone są dziś krajem bez proletariatu i bez zapalnej kwestii społecznej. Ma to kapitalne znaczenie dla Ameryki i dla świata wolnego w czasach, gdy Stany Zjednoczone przewodzią walce z międzynarodowym komunizmem.

Poradzenie sobie z konfliktami społecznymi własnymi siłami w ramach obowiązującego ustroju, poradzenie sobie przez władze państwowe z sobiepaństwem i anarchią kapitału są wymownym dowodem, że społeczeństwo amerykańskie umie podporządkować interesy materialne — nakazom nadrzędnym, politycznym, duchowym.

Nikt nie przeszkadzał

Wspaniałe osiągnięcia społeczeństwa amerykańskiego były możliwe dlatego, że nikt z zewnątrz mu w tej bujnej, kipiącej pracy nie przeszkadzał. Od czasu zakończenia walk o niepodległość, a ściślej od pokoju zawartego z Anglią w Gandawie (1814) żadne mocarstwo, aż do czasów dzisiejszych, nie usiłowało zagrozić wolnej Ameryce. Poostawiano ją w spokoju. Dlaczego? Dlatego, że bezpieczeństwo Unii przed próbami obecnej, głównie europejskiej, interwencji strzegła od 1814 r. flota angielska. Był to już wyraz wyjątkowych, bezprzykładowych stosunków angielsko-amerykańskich: rywalizacji i okazywanej nieraz wzajemnej niechęci, a zarazem współzależności i wzajemnej gotowości do przychodzenia sobie z pomocą w chwilach krytycznych. Anglia strzegła wolności Unii w w. XIX, Stany Zjednoczone strzegły wolności Anglii w w. XX.

Dlatego też od pokoju w Gandawie aż do czasów wojny z Hiszpanią (1898) Stany Zjednoczone pozwały sobie na luksus nie posiadania sformułowanej czynnej polityki zagranicznej. W tym szczęśliwym okresie dwa wydarzenia stały się zapowiedzią doniosłych problemów, przed którymi stanęły Stany Zjednoczone w w. XX, tak gruntownie odmiennym od sielskiego w. XIX. Zaremba je wymienia. Doktryna Monroego, na której zasadzie Stany Zjednoczone obwieściły, że „przeciwstawia się zakusom europejskim podbicia dawnych lub założenia nowych kolonii na terenie obu Ameryk“ godziła głównie w Rosję, która, zdaniem sekretarza stanu prez. Monroego (1817—1825), John Quincy Adamsa mogła jedynie zagrozić Stanom Zjednoczonym. Adams okazał się przewidującym mężem stanu.

Drugie symptomatyczne wydarzenie dotyczy polityki Rosji w czasie wojny secesyjnej. Toczyła się ona w czasie powstania styczniowego i przyćmiła — jak zaznacza Zaremba — w oczach opinii amerykańskiej krwawe zmagania narodu polskiego. Co więcej, wobec tego, że oficjalna opinia angielska i francuska, sprzyjająca powstaniu polskiemu, jednocześnie opowiadała się za stanami południowymi, Rosja, pamiętając wojnę krymską, była jedynym mocarstwem, popierającym Unię. Lippmann⁵⁾, który się nieco obszerniej zajął tym okresem, podkreśla, że Rosja wysłała wówczas eskadry okrętów wojennych z floty bałtyckiej do Nowego Jorku i eskadry z floty na Dalekim Wschodzie do San Francisco dla poparcia swego stanowiska przychylnego Unii. Lincoln zaś odmówił dyplomatycznej interwencji na rzecz powstańców polskich. Lippmann wyprowadzał stąd wniosek że mimo różnic ideologicznych, które zawsze dzieliły Rosję i Amerykę, każde mocarstwo „zawsze“ rzekomo przeciwstawiało się polityce rozbioru drugiego, każde chciało by drugie było silne...

Wspomnienie koniunkturalnej sytuacji z lat 1863 wydobyto na wierzch

(Dokończenie na str. 4)

1) Paweł Zaremba „Historia Stanów Zjednoczonych“, Instytut Literacki, Paryż, 1957.

2) T. Komarnicki „Rebirth of the Polish Republic“, London, 1957.

3) W. Tatarkiewicz „Historia Filozofii“, t. III, Warszawa, 1950.

4) Edouard Krakowski „Mickiewicz et d'histoire Pathétique de la Pologne“, Paryż, 1955.

5) Walter Lippmann „US Foreign Policy“ Boston, 1943.

NA MARGINESIE „HISTORII STANÓW ZJEDNOCZONYCH“

(Dokończenie ze str. 3-ej)

w czasie ostatniej wojny — na dowód, że jest możliwa stała współpraca między wielkimi mocarstwami, Rosją i Stanami Zjednoczonymi. Były to czasy Teheranu, Jałty... A jednak w świetle wypadków, które potem nastąpiły okazało się, jak dalekowzroczny był John Quincy Adams.

SPRAWY POLSKIE

Sprawy polskie w odniesieniu do historii Stanów Zjednoczonych muszą być rozpatrywane z dwóch punktów widzenia: jako wkładu polskiej, zarobkowej emigracji do dzieła budowy potęgi Stanów Zjednoczonych i jako stosunku Ameryki do zagadnienia polskiego w Europie.

Znaczenie emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych — obchodziła ona właśnie 350-lecie swego istnienia — wymagałoby odrębnego traktowania w specjalnej źródłowej pracy. Rola ta jest może niedoceniana, lecz udział choćby żywołu polskiego w amerykańskich siłach zbrojnych, w czasie ostatniej wojny — czym żołnierze PSZ na Zachodzie nieraz byli zaskoczeni — uzmysłowił nam, że Amerykanie polskiego pochodzenia dawali chętnie nie tylko swą pracę, ale i krew na rzecz potęgi Stanów Zjednoczonych.

Autor, zmuszony omówić rozliczne zagadnienia historii amerykańskiej w jednym tomie, nie mógł sprawom emigracji polskiej poświęcić zbyt wiele miejsca. Wskazał oczywiście, że niemal u narodzin Stanów Zjednoczonych stał jeden z najwzięjszych Polaków — Kościuszko oraz wielki bojownik Pułaski. Ale i w latach następnych nazwiska polskie występowały na kartach historii Stanów: np. gen. Krzyżanowski. Ameryka zawsze fascynowała wybitne umysły polskie, jak Sienkiewicza autora „Listów z Ameryki“, Modrzejewską, Paderewskiego, a ze współczesnych Floriana Znanieckiego i innych.

Zaremba podkreślił ubóstwo i upośledzenie emigracji zarobkowej, przybywającej w w. XIX do Ameryki ze Środkowej Europy, w tym i Polaków, głównie z Wielkopolski i Małopolski. Wskazał na wyszuk i na niesprawiedliwie niejednokrotnie traktowanie tego żywołu przez ustawy i przepisy emigracyjne, na uprzywilejowanie elementu anglosaskiego, niemieckiego i skandynawskiego w Stanach itd. Czytelnik polski jednak chciałby się może więcej dowiedzieć co Polacy dali Ameryce, poza tanią pracą, w ciągu tych 350 lat historii emigracji. Prawdopodobnie jednak potrzeba by na to drugiego tomu takiego jaki napisał Paweł Zaremba.

Rozpoczyna on swą książkę efektywnym spostrzeżeniem, że „cztery zaledwie lata dzieła deklaracji niepodległości Ameryki od pierwszego rozbioru Polski“, a zatem od utraty następnie niepodległości przez nasz naród i od załamania się przez to równowagi politycznej w Europie.

Spostrzeżenie to mogło nasunąć wiele ciekawych myśli na dalszych zwłaszcza końcowych stronach książki. Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej, ich powrót do Europy, walka Ameryki z imperializmem niemieckim, miały jako logiczne następstwo opowiedzenie się St. Zjedn. za przywróceniem niepodległości Polsce (w 14 punktach Wilsona) a następnie na konferencji pokojowej udzielenie poparcia wielu postulatów polskim. Delegacja amerykańska razem z francuską występowała niejednokrotnie przeciw stronnictwom i maniacko antypolskim wystąpieniom Lloyd George'a.

W polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych otworzył się zatem nowy rozdział: Europy środkowo-wschodniej. Powstało dla polityki amerykańskiej zagadnienie wzniesienia silnej bariery między Niemcami i Rosją. Polityka ta miała swe wzloty i upadki, swe blaski i cienie, swe wielkie osiągnięcia i tragiczne kapitulacyjne załamania (Jałta). Okazało się przy tym, że interesy Stanów pokrywały się z interesami narodów środkowo-wschodniej Europy i że ustępstwa czynione kosztem tych narodów Niemcom, bądź Rosji zawsze w konsekwencji godziły, w żywotne interesy Ameryki. Sledzenie zatem linii politycznej Stanów Zjedn. w stosunku do Polski, Rosji i Niemiec byłoby bardzo pouczające.

W książce Zaremba wskutek ambicji doprowadzenia oceny wydarzeń do r. 1952, problemy te omówione są tylko w ogólnym zarysie, może aż nazbyt

szkicowo, biorąc pod uwagę zainteresowania czytelnika polskiego. Odbija się to niejednokrotnie na ścisłości w przedstawieniu pewnych faktów, tak np. artykuł 10 paktu Ligi Narodów nie przewidywał, iż w razie napadu Niemiec na Francję, Wielka Brytania i Ameryka udzieli jej automatycznie pomocy. Artykuł 10 gwarantował ogólnie wszystkim państwom, należącym do Ligi, polityczną niepodległość i całość terytorialną. Gwarancja dana Francji przeciw agresji niemieckiej przez W. Brytanię i Amerykę była przedmiotem specjalnego układu, który nie wszedł w życie, wskutek odmowy ratyfikacji przez Senat amerykański.

Lecz szczegółowe omówienie tych wszystkich spraw, przedstawienie, jaki wpływ na położenie Europy środkowo-wschodniej wywarły poszczególne posunięcia amerykańskiej polityki — wymagałoby znowu odrębnej książki. Byłby to zatem drugi, dodatkowy tom, do którego napisania namawiam autora.

Jeżeli jednak książka Pawła Zaremby zachęci naszych historyków i pisarzy politycznych do studiów w zakresie stosunków polsko-amerykańskich spełni ona, moim zdaniem, jedną z ważniejszych ról, poza swym znaczeniem

STEFAN LEGEŹYŃSKI

CZTERY WIERSZE Z HOLLAND PARKU

Zjawia z pałacu Hollandów

Przez liście
przeszła biała zjawia —

Białe Pani
znikła powoli
rozwiwiera się

— nie wie
że ją widziano

— pani w białej sukni —

Być może mieszka
w ruinach pałacu Hollandów

— nikt nie wie —

„Białą Panią“
widziła Jadwiga —
i to wczoraj

Oczywiście to nie jest dowodem
że Biała Pani istnieje

— może nie istnieje
ale daje się widzieć

Czego chcecie więcej?

Przeszliśmy ...

Tu brama i tam brama —
nie prowadzą one nigdzie

tylko bram podobnych
przeszliśmy
i przejdziemy —

my, naród optymistów.

Chociaż ...

Ze świętych pni ławka
z próchniejącego ciemno drzewa
pyszne kielichy
beziemiennych grzybów

grzyby
są kształtu lilii

choć są jasno żółte
gdy lilie
są białe
— jak wiecie.

Które ...

Paw
arystokrata
w czasach pogardy

wyszł
na okruchy
białe i brązowe
które

rzuca mu
Ona

i ja
który
pomagam
kruszyć chleb ...

dydaktycznym i dostarczeniem Czytelnikowi przyjemnej lektury.

Dla Polaka zmagającego się z obcą przemocą walczącego o zachowanie podstaw cywilizacji, w której naród wyrastał od 1000 lat, Stany Zjednoczone pozostają ziemią wolności i nadziei. Dla niego Deklaracja Niepodległości z 4 lipca 1776 spełnia rolę — według słów autora — „wyzwania rzuconego ustalonemu porządkowi na całym świecie, groźby gniewu ludu pod adresem wszystkich rządów obecnych i przyszłych. Stąd płynie znaczenie symboliczne i ideowe amerykańskiej Deklaracji Niepodległości, które nie przebrzmiało do dziś“.

Książka Zaremby należy do dzieł, które nie mogłyby być wydane w Kraju. Dlatego dobrze się stało, że ukazała się na emigracji.

Ryszard Piestrzyński

5 NAGRÓD LITERACKICH NA EMIGRACJI

Dnia 13 grudnia bm. jury Zw. Pisarzy, pod przewodnictwem prez. *Wiesława Wóhnota* przyznało nagrody literackie na rok 1958.

Nagrodę Związku Pisarzy — w kwocie £ 50 — za całokształt twórczości — otrzymał *Marian Hemar*.

Nagrodę im. *Hermi* Naglerowej — £ 50 — również za całokształt pracy pisarskiej — otrzymał *Ferdynand Goetel*.

Nagrodę AK (Koła AK — Detroit) — dol. 100 — *Zygmunt Zaremba* z Paryża, za książkę o walce podziemnej w Polsce pt. „Wojna i konspiracja“.

Nagrodę *Krytyka i Esseisty* — £ 25 — *dr Wit Tarnawski*, pod którego redakcją ukazała się staraniem Zw. Pisarzy praca zbiorowa „Konrad żywy“.

Nagrodę *Młodych* — £ 25 — przeznaczoną dla pisarza liczącego mniej niż 35 lat, otrzymał *Florian Śmieja*, poeta i tłumacz literatury hiszpańskiej.

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

NOTATNIK PODRÓŻNY

Przyjechaliśmy tu wczoraj późnym wieczorem zmęczeni i żli. Janusz — nieodstępny towarzysz moich włóczęg — ugrzywno przez pszczołę spuścił niemiłosiernie. Pogoda przez cały czas zmieniała się z kiepskiej na marną i znowu na kiepską. Nie, żeby wyraźnie lato, ale niebo dawało do zrozumienia, że w każdej chwili jest na to przygotowane. Na dobitkę granica okazała się zamknięta. Aby uzyskać pieczętkę na dokumentach trzeba by wracać do odległego o 20 kilometrów miasteczka. Zatrzymaliśmy się więc w opartym niemal o granicę hotelu. Tu — nieoczekiwane spotkanie. Jedno z tych dziwnych, niezamierzonych zdarzeń podróży, za które, między innymi, kocham włóczęgę. Oto złość ustępuje pod wpływem dobrej kolacji, wina i słodkiej senności. W opustoszałej już restauracji dwoje Anglików kończy kolację. Po wymianie paru wstępnych słów znajdujemy wspólnych znajomych, wspólne sympatie i antypatie. Nasz rozmówca — działacz katolicki — zna wielu Polaków i współpracował z nimi. Wymieniamy wspomnienia i projekty wakacyjne.

PUENTO EL PORTALET

Teraz siedzimy w pełnym słońcu, pod niebem oślepiająco błękitnym, wśród białych skał. Jest wczesny ranek i pierwsze samochody nie zdążyły tu jeszcze dotrzeć z Pau czy z Biescas. Cisza na krąpianą drobny, dalekim dźwiękiem dzwoniących: to stada owiec, ledwo widoczne w oddaleniu na zielonych stokach podchodzących do stóp skalistego urwiska. O parę kroków granica: Hiszpania usmiechnięta i gościnna, pełna niespodzianek, pełna odwiecznego piękna, które czeka cierpliwie od wieków, aby zachwycić przybysza.

EL PORTALET-ESTELLA

Zaraz na wstępie Hiszpania przygotowała nam miłą niespodziankę: szosa, zaznaczona na mapie złowrobnymi krzyżami, została właśnie świeżo wyreperowana i pokryta nową nawierzchnią. Na małych tylko odcinkach prowadzone były jeszcze prace utrudniające ruch. Jechaliśmy wolno, podziwiając malowniczość i różnorodność tych stron. Okolica w miarę oddalania się od przełęczy łagodnieje, ale nie brzydnie. Miasteczka i wioski, barwne i tak dobrze wkomponowane w krajobraz, budowano na wzór jakby obrazów Cezanne'a. Rzeka Aragon towarzyszy nam jak wesoly żrebak: wybiega naprzód, by zagrozić drogę, przeskakuje z jednej strony szosy na drugą, wreszcie rzuca się na pasmo skalistych wzgórz i przecina je jakby ciecikiem topora. Ten przełom tak jest nieoczekiwany i malowniczy, że zatrzymujemy się urzeczeni. Cisza, upał i pustka. Nie jesteśmy jednak samotni. Wypływała strzałka wskazuje ścieżkę, którą od szosy w stronę przełomu rzeki dochodzi się do ruin rzymskiej rezydencji. Wystające z ziemi fundamenty wskazują na dużą i piękną posiadłość: dwór zamożnego ziemianina (może zlatynizowanego Ibera) albo letnia rezy-

S O V I E T I C A

CZY WŁAŚCIWA DROGA DO POPULARNOŚCI WE WŁASNYM KRAJU?

Po Walterze Lippmannie, który odwiedził Chruszczowa z końcem października tego roku, w miesiąc później zjawił się na Kremlu w tym samym celu inny wybitny Amerykanin. Był to senator partii demokratycznej, członek senackiej komisji spraw zagranicznych Kongresu, Hubert Humphrey.

Ustanowił on swojego rodzaju rekord, ponieważ jego rozmowa z Nikitą trwała... osiem godzin. Można by powiedzieć: wieszujemy ale nie zazdrościmy. Chociaż amerykański senator udał się do Rosji w oficjalnym celu propagowania międzynarodowej współpracy w zakresie naukowych badań lekarskich, ośmiogodzinna rozmowa dotyczyła przede wszystkim polityki, o czym po wyjeździe z Rosji rozmowny senator gdzie mógł opowiadał.

Jednej rzeczy tylko początkowo nie chciał zdradzić: co Chruszczow przekazał za jego pośrednictwem Prezydentowi Eisenhowerowi. Niemniej dał do zrozumienia, że chodzi o sowiecki stan broni wodorowych. Rychło ujawnione zostały też szczegóły: „Posiadamy dziś — chwalił się Chruszczow — więcej bomb atomowych i wodorowych, niż kiedykolwiek byłoby nam potrzeba. Bylibyśmy jednak gotowi wstrzymać produkcję, a niektóre już posiadane — zniszczyć. Mamy pociski kierowane o zasięgu 14 tysięcy kilometrów. Mamy bombę o sile pięciu megatonów, której produkcja jest bardzo prosta i do której trzeba minimalnej ilości materiału atomowego“.

Senator Humphrey poinformował też opinię zachodnią na podstawie wywodów Chruszczowa, że „strefa nieporozumień między polityką zagraniczną naszych obu krajów pozostaje szeroka i głęboka. Nie wydaje się też, aby przez dłuższy czas różnice mogły być wyrównane“. Co

wynikało jasno — według amerykańskiego senatora — z biegu myśli sowieckiego rozmówcy, to zamiar dzielenia zachodnich sprzymierzeńców, po czym sobie wiele obiecywał.

Jak wynika z reakcji amerykańskiej, sen. Humphrey uzyskał wprawdzie ogromny rozgłos dla swego rekordowego wyczynu, ale nowe te pogroźki Nikity nie wywarły oczekiwanego zdenerwowania Waszyngtonu. Stany Zjednoczone wydają się być pewne swojej przewagi w dziedzinie zbrojeń i zapasów atomowych, a coraz powtarzane, gadatliwe próby zastraszenia Zachodu ze strony Kremla nie mogą podważyć tej pewności.

LAUREAT NAGRODY STALINA

Jak wykazała to już historia nagrody Nobla dla Pasternaka, sowieccy pisarze nie korzystają bynajmniej z tak reklamowanej swojego czasu, „destalinizacyjnej“ wolności. Ostatnio nowym na to dowodem stało się wybranie wolności przez literata, nazwiskiem Aleksander Czejszwili. Ten laureat nagrody Stalina, urodzony w 1903 r., syn gruzińskiego chłopca, był członkiem komunistycznej partii od 1928 r. i napisał kilka powieści, m. in. pt. „Lelo“ i „Stońce nad Gruzją“.

Wybrał on wolność, uciekając do zachodniego Berlina z okazji konferencji pisarzy komunistycznych we wschodnim Berlinie, odbytej pod koniec listopada. Z zach. Berlina udał się samolotem do Frankfurtu nad Menem i następnie, jak informowaliśmy już w „Orle“, otrzymał azyl w Stanach Zjednoczonych. Przedstawicielom zachodniej prasy uzasadniał on swoją ucieczkę naciskiem, wywieranym na sowieckich pisarzy. „Jako komunist — mówił — rozczarowałem się we wszystkich swych ideałach i oczekiwaniach“.

dencja prowincjonalnego dygnitarza. I tak nieznamy nam z imienia Rzymianin stał się niejako naszym współnikiem: wznosił tu swój dom, aby patrzeć z podobnymi może jak w uczuciami na wody Aragonu, przełamujące skalisty grzbiet. Był więc jakby wraz z nami współwłaścicielem tego piękna, na które właśnie patrzymy. Bo to nieprawda, że piękno jest niczyje, że jest własnością wszystkich. W istocie należy tylko do tych, którzy umieją i chcą je zauważyć.

ESTELLA

To kilkutysięczne dziś miasteczko było w wiekach średnich rezydencją królów Nawarry. W starej części miasta, położonej na lewym brzegu rzeki Ega, ubogie domki mieszczan przyczepiły nieśmiało w cieniu średniowiecznych i renesansowych pałaców oraz romańsko-gotyckich świątyń. Najokazalszą z budowli świeckich jest pałac książąt Grenady (z końca XII wieku), którego surowość łagodzi drewniane okopy zdobne bogatymi kasetonami. Pałac stoi u stóp stromego wzgórza uwieńczonego romańsko-gotyckim kościołem San Pedro La Rua. Po wielu stopniach prowadzących kręto, dochodzimy do wspaniałego portalu, w którego strukturze znać już pierwsze, nieśmiałe tchnienie gotyku. W strukturze tylko, bo elementy dekoracyjne pozostają jeszcze czysto romańskie. To jedna z owych niespodzianek, świadczących o zawiłych drogach formowania się stylu. Główce kolumn portalu najbardziej zbliżonych do właściwego wejścia zdobne są rzeźbami, jakby żywcem przeniesionymi tu z Mezopotamii, przywodzącymi na pamięć Nimrud, czy Ninive.

Już poza obrębem dzisiejszego miasteczka stoją ruiny klasztoru Dominikanów. Sufity, dachy, malowidła i stiuki dawno padły ofiarą żarłoczności czasu. Pozostały jednak piękne w swej prostocie mury wsparte przyporami, portale i smukłe szkielety okien, których kamiennych żeber nie wypełnia już wielobarwność witraży, ale przezroczyści daleki błękit. Nad otwartymi ku niebu budowlami zawieszono w próżni łuki z jasnego kamienia. Niczego już nie podtrzymują — pięter ani dachów — niczem nie służą. Pozostały tu chyba tylko po to, aby dawać świadectwo doskonałości średniowiecznego rzemiosła. Wzniesione przed sześciu czy siedmiu wiekami, niespocone niczym poza proporcją i dopasowaniem kamienia, urągają — rzec można — kamienia grawitacji a już na pewno nieuctwu i pysze tych, którzy czas ich kamiennych urodzin nazywają „wiekami ciemnymi“ i „mrokiem średniowiecza“.

Dziś opustoszałe dziedzińce, refektarze i kaplice porastają zioła i krzewy. Gnieździ się tu uboga rodzina z kilkorgiem nagich dzieciaków, kóz, osem i kilkoma prosiętami. W środku dawnej kuchni klasztornej roznieciono ognisko. Na kilku żelaznych prętach zwisa nad nim kociołek z gotującą się strawą. Przez okna z oglądanych starannie kamieni zagląda ciemnozielony krzew fi-

gi. Bujna roślinność wspina się na mury. Nawet do szczytu sygnaturki przywarły kępy trawy. Tu oto zamyka się krąg nadziei i rozpacz; kamienie wydarto kiedyś ziemi i zieloności, ziemia i zieloność biorą znowu w posiadanie. Mimowoli nasuwa się banalne pytanie: może dominikański klasztor jest symbolem niedalekiej przyszłości cywilizacji? Tylko czy ruiny nowoczesnych miast godne będą czułości i zachwytu przyszlęgo przypadkowego przechodnia?

ESTELLA — GARRY

Wśród zmiennego krajobrazu, gdzie dzięki piękno gór i soczysta zielen nadzrzecznych dolin przepłata się z szarą pustką pól ogołoconych żniwami, posuwamy się bez pośpiechu. Wszystko tu warte choćby przelotnej uwagi: formacje gór, przypominające swymi kształtami rzeźby staro-meksykańskie, średniowieczne mosty, wąskie i obłe, budowane przez cierpliwych mnichów, których imiona zatary się już w pamięci potomnych. Pozostały tylko dzieła: piękne i użyteczne do dziś. W Los Arcos natrafiamy na gwar i wrzask. Miasteczko obchodzi fiestę na cześć swej Patronki. Procesja kukiel, orkiestra i wzmoczone spozycie wina. Petardy rozpryskujące się z hukiem, pozostawiają na nieskazitelnym błękitnie małe przelotne chmurki. Po kwadransie znowu postój: Viana. Tu w roku 1507 zginął w czasie oblężenia Cezar Borgia.

Logrono jest końcem naszej wędrówki ku zachodowi. Dwie są po temu przyczyny: po pierwsze wąż, który nas kieruje wśród spalonych słońcem dróg, wąż wykrywający odurzającą woń przeszłości każe skręcić na południe. Po drugie, nie chcemy już więcej kusić i drażnić złośliwego demona chmur i deszczu, który jak wiadomo żyje na atlantyckim wybrzeżu.

O kilkanaście kilometrów od Logrono ruiny zamku Clavijo. Na tych polach w roku 844 król Ramiro I zwyciężył Maurów. Gdy w czasie bitwy pod naporem przeważających sił pogan szeregi rycerzy królewskich chwiał się zaczęły i łamać, u boku monarchy zjawił się — jak głosi podanie — święty Jakub Apostół i dołożywszy miecza uderzył na wroga Krzyża i Korony, przechylając szalę zwycięstwa na stronę Hiszpanów. (Dokończenie nastąpi)

WYMOWA BRUKOWYCH NAGŁÓWKÓW

Czasopismo reżymowe „Fakty i Myśli“, znane ze swego „antyreligianckiego“ stanowiska, bije, zapewne wszystkie rekordy w dziedzinie ordynarności nagłówek. Oto parę przykładów: „Chuli-gańskie wyczyny księdza“, „Teologia i domy publiczne“, „Za spokoj duszy katów ludu“, „Córka Dullesa kapitanem“. Katolicki „Tygodnik Powszechny“ w swym komentarzu do tych rewelacyjnych tytułów pisze, że na „Miss Fakty i Myśli“ czytelnicy wybrali ten ostatni nagłówek. (Warto może przypomnieć, że księdzem, jezuitą jest *syn* amerykańskiego Sekretarza Stanu). (Zet)

TADEUSZ FELSZTYN

HISTERIA ATOMOWA

Masowa histeria jest zjawiskiem dobrze znanym w dziejach ludzkości. Średniowieczne historyczne tańce zbiorowe, które do dziś dnia pozostawiały nazwę tańca św. Wita (dziś zupełnie zresztą odmienną w swym znaczeniu) i podobne w charakterze, choć nie nasileniu, histerie na tle Rock-and-Roll, procesje biczowników, liczne zeznania „świadków”, którzy „na własne oczy” widzieli czarownice, wyłatujące na miotłach z kominarów, również liczni dziś „świadkowie” latających talerzyków, to jedynie odmiana tego samego przejawu masowej histerii.

Histeria ta jest zwykle spowodowana zjawiskami, których nie rozumiemy. Jak koń stający dęba na widok nieznanego mu dotąd samochodu, człowiek podświadomie lęka się tego, czego nie umie sobie wytłumaczyć. Bardziej więc lęka się niebezpieczeństwa nieznanego, choćby mniejszego, niż tego, do którego przywykł, choćby znacznie większego. Przykładem tej histerycznej w swej istocie obawy może być zachowanie się niektórych oddziałów wojskowych w czasie ostatniej wojny, które mężnie przechodziły groźne przeciegi w swych skutkach silne zapory ognia artylerii, a zalały się przed rzadkim polem minowym, ba, nawet wtedy, gdy tylko podejrzewały, że przed nimi jest pole minowe. Jakże często napis „uwaga, miny!” był skuteczniejszą obroną, niż najsilniejszy ogień.

Nie dziw więc, że niebezpieczeństwo promieniowania wywołuje takie same objawy masowej histerii. Ze sztucznym promieniowaniem ludzkość ma do czynienia już od przeszło 60 lat i rychło przekonała się, że to dobroczynne i lecznicze promienie mogą, nieostrożnie użyte, stać się i groźnym niebezpieczeństwem. Mimo tego jednak ani prasa nie obwieszczała krzyżującymi nagłówkami wypadków okaleczenia lub też przedwczesnej śmierci roentgenologów, ani też opinia publiczna nie widziała w tych promieniach czegoś szczególnie groźnego. Nawet wybuch bomb atomowych i w Hiroszimie i Nagasaki nie wywołał objawów masowej histerii, mimo iż wśród fachowców niebezpieczeństwo promieniowania doceniano należycie. Pierwsze objawy masowej histerii można było zauważyć dopiero po pierwszym wybuchu wodnorodowym. Od tego czasu jest ona coraz częstsza i silniejsza.

Przykładów mieliśmy wiele w ostatnich miesiącach. I tak np. w dniu 30 października aparaty mierzące promieniotwórczość w Los Angeles wykazały jej poziom dwukrotnie wyższy, niż uznany za „dopuszczalny”. Prezydent miasta, w telegramie do prezydenta Eisenhowera, zażądał natychmiastowego zaprzestania prób nad pustynią Nevada, które to promieniowanie wywołały. Nie pomogli zapewnienia fachowców, że „dopuszczalny poziom” jest to takie średnie promieniowanie, które człowiek może spokojnie znosić przez całe swe życie bez szkody tak dla siebie, jak i dla swego potomstwa. Poszczególne, krótkotrwałe promieniowanie o wielokrotnie wyższym natężeniu, nie wyrządzą mu żadnej szkody. I choć biofizyk dr Bellany natychmiast podał przez radio do wiadomości mieszkańców miasta, że nawet dziesięciokrotnie wyższe promieniowanie musiałoby trwać całe miesiące, zanim stałoby się szkodliwe, panika ogarnęła miasto. Ludzie pozamykali szczelnie okna i bali się wyjść na ulicę.

Podobna histeria ogarnęła wiele sfer ludności brytyjskiej po wybuchu w Windscale. Początkowo reakcja prasy była dość spokojna. Gdy jednak dowiedziano się, że na skutek zbyt wielkiej ilości promieniotwórczego jodu, który wydostał się przez komin stosu atomowego, trzeba było tyśiące galonów mleka wlać do morza, prasa zaczęła histeryzować. Pojawiły się krzykliwe napisy, niebezpieczeństwo wyolbrzymiono, ba nawet pojawiły się głosy, że należy w ogóle zaniechać prac nad energią atomową. Jak słusznie powiedział jeden z psychiatrów angielskich, „reakcja była zupełnie zgodna z teorią Freuda: widać, że wszyscy reporterzy karmili się za młodu mlekiem”.

Podobnie ogłoszenie w 1956 roku raportów komisji angielskiej i amerykańskiej, które przestrzegały, że nadmierne i nieumiejętne przeprowadzone naświetlania promieniami Roentgena mogą być większym niebezpieczeństwem, niż opady promieniotwórcze, wywołało jako niespodzie-

wany skutek znaczne pomniejszenie ilości osób zgłaszających się do niewątpliwie niewinnego, przepięknego i przyjemnego osławienia kompetentnych organów lekarskich, że powstrzymanie się od prześwietlenia może wywołać znacznie groźniejsze skutki w postaci gruźlicy, niż ta minimalna doza promieniowania, nie zdołała w pełni pokonać tego urazu.

Źródła strachu

Są one rozliczne: Przeżyta wojna z jej wszystkimi okropnościami, propaganda psychologiczna i polityczna zimnej wojny, a nawet niekiedy i zwykłe ogłoszenia handlowe. Dużą rolę gra również prasa, zwłaszcza prasa brukowa, której reporterzy zwykle niewiele lub nic nie wiedzą o zagadnieniach atomowych i albo, dla celów sensacji, wyolbrzymiają rzekome niebezpieczeństwa, albo też w najlepszej wierze przelewają na papier swe własne nierozumne obawy.

Istotnym jednak źródłem tej histerii jest niewiedza. Jak wykazuje badanie prymitywnych społeczeństw, irracjonalne obawy (podobnie zresztą jak i irracjonalne nadzieje) są zawsze czynnikiem zaburzającym życie tak całego społeczeństwa, jak i poszczególnych jego członków. A niestety człowiek cywilizowany, postawiony wobec zupełnie obcej mu sytuacji, jest emocjonalnie nie lepszy, niż jego prymitywny przodek.

Badania, przeprowadzone przez Światową Organizację Zdrowia nad różnymi grupami osób wykazały, że owa historyczna obawa promieniowania maleje w miarę znajomości istoty zagadnienia. I tak np. ci, którzy z promieniowaniem mają stale do czynienia — jak pracownicy zakładów atomowych, radiologowie, studenci pracujący nad fizyką atomową — nie wykazują żadnych objawów histerii wobec promieniowania.

W szerokich jednak masach społeczeństwa, obawy przed promieniowaniem niewątpliwie zawsze istnieją. Przeważnie jednak tkwią one w podświadomości, wydobywając się na jaw jedynie w wyjątkowych okazjach, gdy jakieś niezrozumiałe dla „szarego człowieka” zjawisko lub też panikarski artykuł w gazecie wywołują zbiorowy atak histerii. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że wyrobienie sobie opinii przez szeroką publiczność, jest naprawdę trudne. Od stu lat nauca uczyła się ona ufać i wierzyć „nauce”, która wszak dała jej wszelkie udogodnienia życia, jak gaz, elektryczność, radio, telewizję, samoloty, samochody, pralki elektryczne itp. Nie wiedząc nic, a w najlepszym razie mało tylko wiedząc o istocie nauki, o jej dążeniu do poznania otaczającej nas rzeczywistości, szeroka publiczność widziała w nauce jakieś dobrodziejstwo bóstwo, którego jedynym zadaniem jest ułatwić ludziom życie. Kapłanów tego bóstwa, uczonych, przywykło się uważać za rodzaj niemal nadludzi. Ich sądy przyjmowano bezkrytycznie, jako prawdy objawione.

Tymczasem w ostatnich latach zaczęły się mnożyć spory i zacięte kontrowersje uczonych na łamach prasy i to nie tylko w dziedzinach czysto naukowych, ale nawet i w sprawach tak żywo obchodzących każdego człowieka, jak np. skutki palenia tytoniu, czy też skutki promieniowania. Zapewne, takie spory w nauce istniały zawsze. Dopóki jednak toczyły się na łamach pism fachowych lub na zebraniach naukowych, nie dochodziły one do świadomości szerokiego ogółu. Dziś jednak gdy przeniosły się do prasy codziennej, podkreślane jeszcze jej krzykliwymi tytułami, owa bezkrytyczna wiara w „naukę” i uczonych została dotkliwie podważona. A że do tego niebezpieczeństwo promieniowania uświadomiło ludzi, że dobrodziejstwo bóstwo „nauki” może nagle przemienić się w groźącego zagładę demona, „szary człowiek”, nie tracąc szacunku dla uczonych, zaczął jednak patrzeć na nich, jak na geniusze, mogące zarówno przynieść dobro, jak i zło. W tych warunkach reaguje on jak ów pies Pawłowa, który nie wiedział, czy okazany mu bodziec jest zwiastunem nagrody w postaci smacznego kęsa, czy też kary w postaci szoku elektrycznego.

Do tego rozhisteryzowania mas przyczyniają się w dużej mierze i sami uczeni przez swe wypowiedzi mające popularyzować naukę. Zamiast jasno oddzielić to, co jest faktem, a to, co nie może ulegać wątpliwości,

od tego, co jest osobistym wnioskiem uczonego z tych faktów — a więc może podlegać krytyce i być przedmiotem odmiennego sądu — większość uczonych, piszących na łamach prasy, w popularnych książkach, lub też przemawiając w radio czy telewizji, przedstawia te swoje osobiste wnioski tak, jak gdyby były pewnikami naukowymi. Nie dziw, że dezorientuje to słuchacza lub czytelnika, zamiast go uświadamiać.

Lęk przed promieniotwórczością tkwi więc w podświadomości przeciętnego człowieka, tłumiony jedynie obawą ośmieszenia się, gdy się okaże, że był to lęk nieuzasadniony. Jakże charakterystyczną rzeczą jest, że ilekroć powstaje projekt budowy nowej elektrosiłowni atomowej, zaraz pojawiają się liczne protesty mieszkańców tej okolicy, wszystkie jednak motywowane przeważnie względami... estetycznymi. Jest to typowe zjawisko psychologicznego przesunięcia („displacement”), gdzie motyw podświadomy, którego człowiek się wstydi, zostaje zastąpiony przez motyw ogólnie szanowany.

Psychoza naukowców

Ten surowy cenzor freudowski nie istnieje wśród inteligencji, najbardziej podatnej na histerię warstwy społecznego społeczeństwa — a zwłaszcza wśród naukowców. U wielu z nich opanowanie energii atomowej wywołało jak gdyby jakieś poczucie winy, szczególnie silne u wielu uczonych atomowych, którzy czują się osobiście odpowiedzialni za to, że to ich prace przyczyniły się do powstania i rozwoju broni atomowych.

W tym poczuciu winy jest dużo wspólnego całej ludzkości pramitu, a mianowicie obawy obrażenia groźnych potęg przez zbyt zuchwałe wdzieranie się w ich tajemnice. Legendy o Prometeuszu, o Pandorze, legendy Fausta, staroegipskie przysłowia „gdy człowiek nauczy się poruszać gwiazdy, sfinks będzie się śmiać, a życie zamrze” są wszystkie dowodem tego nieświadomego lęku. A że wielu współczesnych uczonych, zapomniawszy jedyne skutecznego środka zmywania win, spowiedzi, nie może oczyścić się z tego kompleksu, więc musi on wydobyć się na jaw w sposób w istocie swej histeryczny.

I temu, poza czynnikami, o których dalej będzie mowa, należy przypisać udział tak wielu uczonych we wszelkich akcjach propagandowych, nie mających realnych podstaw w faktach, które chyba jedynie powinny być miarodajne dla uczonego.

Do tego wiara ogółu, że „uczeni” mają jakiś tajemniczy kontakt z „prawdą”, łatwo udzieliła się wielu uczonym, którzy coraz bardziej zaczęli wierzyć w swą nieomylność nie tylko w ich własnej dziedzinie naukowej, ale i we wszystkich sprawach ludzkich, choćby nawet w rzeczywistości nie mieli o nich najmniejszego pojęcia. Jak słusznie ostrzega Alexis Carell „nie ma większego niebezpieczeństwa, niż wybitny specjalista, gdy mówi o rzeczach, na których się nie zna”.

Typowym przykładem, jak mało wagi należy przypisywać wypowiedziom uczonych w dziedzinach, które nie są ich specjalnością, jest Bertrand Russell. W latach 1914—1918 Russell z całą właściwą mu pasją i przekonaniem, że on jedyny posiadał całą prawdę, zwalczał wojnę Anglii przeciw Niemcom, wzruszony, jak twierdził, „bezmyślną rzezią młodych ludzi nad Sommą tylko dlatego, że generałowie byli głupi”. W czasie drugiej wojny światowej, siedząc bezpiecznie w Ameryce, tenże sam Russell był entuzjastycznym zwolennikiem wojny przeciw Niemcom. Kilka lat temu Russell grzmiał, wołając o wojnę zapobiegawczą przeciw Rosji. Dziś jest on najczystszy propagandzista rozbrojenia bez żadnych warunków. A choć tak często zmienia swe zdanie, za każdym razem wygłasza je z całą pewnością siebie, pogardą miażdżącą tych, którzy nie chcą uznać jego autorytetu.

Innym przykładem tej zarozumiałości uczonych może być zmarły niedawno profesor London School of Economics, Laski, który — choć nigdy nie próbował nawet dotrzeć rowerem — z całą pewnością siebie twierdził, że na pewno byłby od razu doskonałym kolarzem, byle mu tylko wyjaśnić teorię jazdy na rowerze.

(Część II w nast. numerze)

„ŻYWY DZIENNIK” W SHEFFIELD

Dnia 30 listopada odbył się w Domu Kombatanta, z inicjatywy miejscowego Koła SPK, „żywy dziennik” czyli dyskusja na temat „Jak emigracja może służyć sprawie polskiej”. Zagajającymi byli pp. prezes NiD'u R. Piłsudski, dr. Z. Stahl i red. J. Żywina, który objął też — na wniosek prezesa Koła p. Worka — przewodnictwo zebrania oraz treściwie je zagal.

Otrzymałszy jako pierwszy głos dr. Z. Stahl, w krótkim — jak przewidywał program — przemówieniu zaczął od sformułowania zasady ogólnej, że emigracja winna przede wszystkim podejmować te zadania, których kraj pod reżymem komunistycznym wypełniać nie może oraz reprezentować wśród narodów wolnych na Zachodzie prawdziwą wolę, dążącą do niepodległości, narodu polskiego. Piętnowanie wojskowej obrazy sowieckiej dokonał Polski, narzuconego ustroju komunistycznego i utraty ziem wschodnich, to wszystko, przemilczane z konieczności w kraju, musi być przez nas w pierwszym rzędzie podnoszone na Zachodzie.

Z kolei p. R. Piłsudski w godzinnym biśko przemówieniu przedstawił znany program swojej grupy politycznej, wyrażającej się głównie w przekonaniu, że od dwu lat walka o niepodległość może być toczona w kraju, a rzeczą emigracji jest popierać wszelkie postulaty, wychodzące w stosunku do emigracji z Warszawy, przy czym rozróżnienie między reżymem a krajem uległo w tym ujęciu raczej zaciemnieniu.

Z kolei nastąpiły pytania i dyskusja, w której zabierali głos m.in. pp. De Vaux, Rubin, Zychowicz, a która objęła szeroki zasięg tematów emigracyjnej i krajowej polityki. W końcowej części replik ze strony prelegentów dyskusja się zaogniła, zwłaszcza pomiędzy p. R. Piłsudskim a dr. Z. Stahlem, w zakresie możliwości niepodległościowej akcji w kraju oraz problemu obrony granic. Na tezę optymistyczną pierwszego z wymienionych, jakoby akcja ta była obecnie możliwa — drugi zapytał, dlaczego głoszący takie tezy nie wracają do kraju, co byłoby — jego zdaniem — logiczne.

Odnosnie sprawy obrony granicy na Odrze i Nysie, gdy p. R. Piłsudski uznał to za jedno z głównych zadań emigracji i stwierdził, że nie można jednak równocześnie występować w obronie ziem wschodnich, dr. Z. Stahl przeciwstawił temu inny pogląd. Stwierdził przede wszystkim, że nie wolno nam rezygnować z żadnych zdobyczy ani uprawnień narodu, a stając na straży granicy na Odrze i Nysie, musimy pamiętać, że gwarancje sowieckie nie zostały nam dane dla rzeczywistego dobra Polski i nie mogą być traktowane jako wartość trwała. Na koniec przewodniczący red. J. Żywina podziękował organizatorom, mówcom oraz publiczności za współudział w interesującym zebraniu. (a)

ORYGINALNA

WÓDKA Smirnowa



65.5° PROOF 35/6
80° PROOF 43/-

BUTELKA (½ LITRA)

Butelkowana w Londynie

Do nabycia we wszystkich skiadach win, klubach, restauracjach

HISTORIA POLSKI

PAWŁA ZAREMBY

Objętości ok. 800 stron

Ukaże się jako

Tom XXXII „Biblioteki Kultury”

Cena w przedpłacie, której termin mija 1 stycznia 1959 wynosi 15/-

Zgłoszenia „Kultura”, 91 Avenue Poissy, Maisons Laffitte (S. et O.) lub: „Gryf”, 169/171 Battersea Church Road, London, S. W. 11.

PODAREK NA GWIAZDKĘ

Specjalnie pomyślane praktyczne i tanie prezenty dla Bliskich w Kraju!

2 Kardigany Puritex	25/-	2 pr. skarpet nylon	20/-
2 yd. materiału nylon na bluzkę	21/-	Aparat do golienia „Gilette” i	
Chustka szwajc. kaszmir	26/-	6 noży	10/6
2 pr. Nylonów „De Luxe”	20/-	Sweter męski	50/-
Szwajc. pozłacany zegarek damski lub męski	170/6	Komplet ołówek kol.	12/-
Rekawiczki skórk. ciepłe męskie lub damskie	25/-	Sweterek dla dziecka	26/-
		Pióro Parker	25/-

Zamów d z i s by paczka doszła na czas! Żądajcie cenników!

FREGATA

81/83, CROMWELL ROAD, LONDON S. W. 7. Tel. FREmantle 1055.

TAZAB & CO. LTD.

22, Roland Gardens, London, S. W. 7.

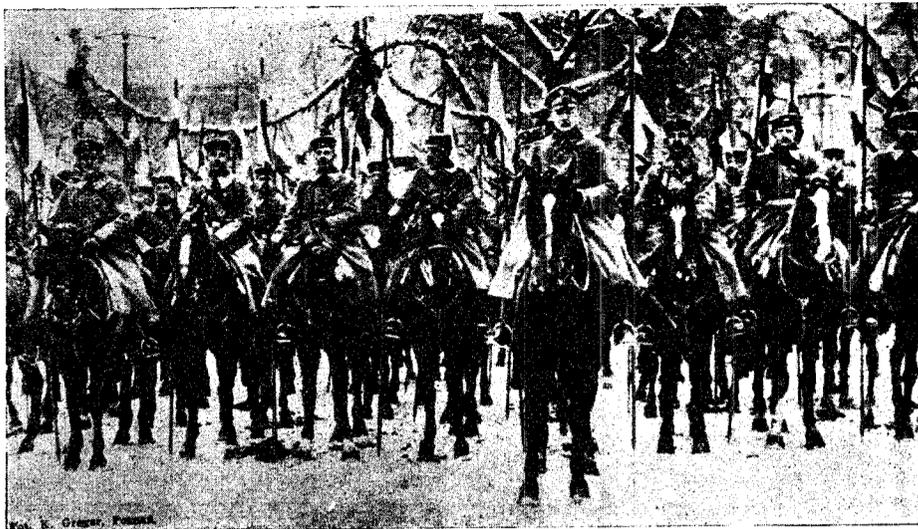
UWAGA! OWOCE POŁUDNIOWE UWAGA!

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę naszych P. T. Klientów na możliwość dostarczenia za naszym pośrednictwem Rodzinom w Polsce świeżych owoców południowych. Do czasu zorganizowania dostawy, banany w Polsce były znane raczej z obrazków, a młodsze pokolenie, zwłaszcza dzieci, nigdy nie znały smaku tych owoców. Pomarańcze czasami pokazują się na rynkach krajowych, ale rzadko i tylko w większych miastach. Pomarańcze nigdy nie docierają na wieś, lub do mniejszych ośrodków. Owoce dostarczane przez nas — banany, pomarańcze i cytryny — są w doskonałym gatunku, zawsze świeże, co gwarantuje specjalne opakowanie. TAZAB przyjmuje całkowitą odpowiedzialność za stan dostarczonego towaru i dlatego też możemy świeże owoce dostarczać tylko w okresie zimowym, to jest od września do 15 kwietnia. Okres dostawy jest bardzo szybki — nie przekracza dwóch tygodni od dnia otrzymania przez nas zamówienia.

ŚWIEŻE OWOCE

są wolne od jakichkolwiek opłat celnych

TAZ 1. 10 lbs cytryn		TAZ 5. 5 lbs cytryn	
10 lbs pomarańczę	£3. 6.0	5 lbs pomarańczę	£1.17.0
TAZ 2. 10 lbs bananów	1.16.3	TAZ 6. 20 lbs cytryn	3. 7.6
TAZ 3. 10 lbs cytryn	1.16.9	TAZ 7. 20 lbs pomarańczę	3. 1.6
TAZ 4. 10 lbs pomarańczę	1.16.3	TAZ 8. 5 lbs bananów	1. 3.3



PAWEŁ HEĆIAK

W POZNANIU PO 11 LISTOPADA

GDY wspomina się Powstanie Wielkopolskie widzi się przede wszystkim, a niekiedy wyłącznie, dzień 27 grudnia. Strzały, które rozległy się wówczas w Poznaniu „wicher wolności” rozniósł szerokim echem po całej ziemi wielkopolskiej. Tysiące Wielkopolan chwyciło za broń, by przedrzeć zniemczony okupanta.

Autorzy niektórych publikacji n. t. Powstania Wielkopolskiego chcą w tym porwie zbrojnym zawrzeć wszystko. Bardzo to wąskie spojrzenie, zwłaszcza jeśli podnosi się jednocześnie zarzuty pod adresem tych, którzy byli ojcami duchowymi Powstania Wielkopolskiego, którzy do wielu, wielu lat, wszędzie i przy każdej okazji, na łamach prasy polskiej w Poznaniu czy w Berlinie, z trybun parlamentarnych i w cichej pracy konspiracyjnej podtrzymywali ducha narodowego, domagali się praw dla Polski, oskarżali śmiało Niemców o zbrodnie, żądali Polski z przystępem do morza, słowem pełnili tę wielką, odpowiedzialną robotę polityczną, która przygotowywała grunt pod Powstanie.

Wielką w tym rolę odegrała także Naczelna Rada Ludowa. Jej chciałbym poświęcić te uwagi. Nie gwoli rehabilitacji, bo ona rehabilitacji nie potrzebuje, lecz gwoli przypomnieniu prawdy historycznej. Wielkopolska zawdzięcza swe uwolnienie spod zabory żołnierzom, czemu nikt nie chce przeczyć. Ale obok żołnierza i wcześniej, inną wprawdzie bronią, walczyli ci wszyscy, którzy kierowali od lat polityką społeczeństwa poznańskiego: przywódcy różnych stronnictw politycznych, organizacji społecznych i zawodowych, duchowieństwo, które zasiadało nie tylko w Naczelnej Radzie Ludowej, ale także we wszystkich Powiatowych Radach Ludowych.

TAJNY KOMITET OBYWATELSKI

Dnia 10 listopada 1918 roku panował w stolicy piastowej szczególny nastrój. Rano ukazywali się na ulicach Poznania pierwsi żołnierze bez kokard i odznak pułkowych... Nagle ukazuje się odezwa Komitetu Obywatelskiego. Publiczność ogarnia podniecenie... Brzmia okrzyki: „Niech żyje Polska...” Poznań to polskie miasto. Uczucia narodowego nie stłumiły w nim gwałty rządów poprzednich — nie przysługują go też hasła rad żołnierszych — pisze „Dziennik Poznański” w numerze z dnia 12 listopada 1918 roku.

Ten Komitet Obywatelski tego samego dnia konstituuje się jako Rada Ludowa, która wyłania z siebie wydział w składzie: Adamczak, ks. kan. Adamski (późniejszy biskup), Stefan Andrzejewski, Cejrowski, dr Drzewski (późniejszy prezydent miasta), ks. Dymek (późniejszy arcybiskup), Hedinger, Kliszewski, Roman Leitgeber, Lewandowski, Michałak, dr Meissner, Karol Rzepceki, Władysław Seyda (poseł), Sikorski i Sucho-wiak.

Oto mamy już w tych pierwszych godzinach w Poznaniu organizację, która próbuje ująć w swoje ręce życie polityczne i społeczne. A dla ścisłości dodajmy, że właściwie już w 1914 roku, zaraz po wybuchu wojny, powstał w Poznaniu Tajny Komitet Obywatelski, który nie mógł, rzecz jasna, rozwinąć szerzej działalności, lecz który ujawnił się właśnie teraz, gdy tylko nastąpiła odpowiednia chwila. Nie spał więc Poznań, czuwał więc jego obywatele. W odezwie z dnia 10 listopada czytamy m.in.:

... W poczuciu obowiązku czuwania nad bezpieczeństwem naszych współobywateli a w porozumieniu z naszymi Polakami i Komitetem Wykonawczym miejscowym jako przedstawicielami polskiego ogółu mieszkańców Poznania zawiązaliśmy poniżej podpisany Komitet Obywatelski, który natychmiast rozpocznie działanie... Wzwaaliśmy ludność do spokoju odezwa kończy się następującymi słowami: „Polacy! Okazmy się godnymi wielkiej chwili dziejowej. Bądźmy

solidarni. Niech każdy spełni swój obowiązek ku wspólnemu dobru naszej Ojczyzny”.

Pod tą odezwą znajduje się 65 podpisów a m.in.: ks. Stanisław Adamski, Wacław Cegiłka (późniejszy burmistrz m. Ostrowa Wlkp.), Antoni Chlapowski, Bernard Chrzanowski, Jarogniew Drzewski, ks. Walenty Dymek, dr Paweł Gantkowski, Witold Hedinger, ks. Ludwik Jarosz, ks. Józef Kłos, Mieczysław Kozieniewski (założyciel Związku Obrony Kresów Zachodnich), Teodor Krauze, Bolesław Krysiwicz, Roman Leitgeber, Zenon Lewandowski, ks. Kazimierz Małkowski, Tadeusz Powidzki, ks. J. Prądzynski, Stanisław Robiński, dr Celestyn Rydlewski, Karol Rzepceki, Władysław Seyda, ks. Antoni Stychel, Wojciech Trampczyński. Warto przypomnieć te nazwiska.

Naczelna Rada Ludowa wydaje wiele zarządzeń i odezw, w których pełno troski o sprawy codzienne i ogólne. Odnia 17 listopada ko-numikat Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej wzywa Powiatowe i miejscowe Rady Ludowe oraz lotychczasowe Komitety Obywatelskie:

1) „Zebrały jednorazowo podatek narodowy w swoim powiecie i przelały na ramię połowę zebranych funduszy do Banku Związku na konto Naczelnej Rady Ludowej. Wysokość podatku powinna wynosić co najmniej tyle, ile wynosi roczny podatek dochodowy, obliczony na podstawie rzeczywistego dochodu. Liczymy na ofiarności społeczeństwa”.

Członkowie Rady zdawali sobie sprawę, że jeśli chcą przemawiać w imieniu społeczeństwa, jeśli chcą w imieniu tego społeczeństwa podejmować decyzje i wzywać do ofiarności, muszą mieć jego mandat. Dlatego z miejsca powstała koncepcja odbycia wyborów i odbycia zjazdu delegatów, który by wybrał sobie właściwą Naczelną Radę Ludową.

I oto w ciągu 2 tygodni odbywały się wybory. Trudno nie podziwiać sprawności. Prowincjonalny „Komitet Wyborczy na Wielkie Księstwo Poznańskie” wydaje odezwę do „P.P. Prezesów wyborczych komitetów powiatowych, aby w wykonaniu uchwały Polskiego Komitetu Wyborczego na Rzeszę Niemiecką zwołano natychmiast obwodowe zebrania wyborcze, na których — poza referatem n.t. „Poleżenia politycznego a sprawa polska” — wybrano delegatów na Polski Sejm Dzielnicowy w Poznaniu oraz wybrano członków do Powiatowej Rady Ludowej. Organizatorzy proszą, aby „bacząc na to, żeby... stan włościański i robotniczy wiejski i miejski miał co najmniej połowę przedstawicieli” na Sejm Dzielnicowy. „Uprawnieni do głosowania są każdy Polak i każda Polka po skończonym 20 roku życia, na 2.500 ludności polskiej wybiera się jednego delegata albo delegowaną”.

Rozpoczyna się mroźna praca wszędzie tam, gdzie mieszkają Polacy: od Nadrenii począwszy, poprzez Berlin, Poznańskie aż do Prus Wschodnich włącznie. Wybrano około 1.500 delegatów, z których ok. 1.200 w pierwszych dniach grudnia 1918 roku zjechało do Poznania.

Obraz nastrojów nie byłby pełny, gdyby nie przypomnieć słów, które padły niedawno w parlamencie niemieckim a pod wrażeniem których byli wszyscy Polacy, zamieszujący ziemie zachodniej Polski.

Dnia 23 października woła ks. prałat Stychel:

... Kraje polskie nie były krajami bezpańskimi. Prawowity ich właściciel istnieje, bo naród polski nigdy się praw swych nie wyrzekł. Czy jakkolwiek rozsądny Niemiec może się dziwić, że naród polski pragnie żyć w niepodległym swym państwie? ... Żadamy przywrócenia zabranych przez Prusy ziem polskich... ”

(Dokończenie na str. 9)

4. szwadron 1. p. ułanów wlkp. (15 p. ułanów poznańskich) w styczniu 1919 r. Dowódcą por. Raszewski poległ w walkach na Kujawach.

monstrować swoje sily. Stało się to zresztą początkiem ich klęski. Mianowicie oddziały stacjonujące w Poznaniu 6. pułku grenadierów, otoczone młokosami niemieckimi, wyszły z koszar i dokonały prowokacyjnego przemarszu przez miasto. Niemcy przeszli przez Plac Wolności. Podgórną na Plac Świętokrzyski wracając św. Marcinem. W drodze powrotnej zaczęli strzelać do okien udekorowanych polskimi flagami, zdzierać polskie flagi i wybijać szyby. M.in. dokonano napadu na gmach i biuro Naczelnej Rady Ludowej przy ul. św. Marcina 40. Wszystko to działo się przed godz. 16-tą.

— To prowokacyjne zachowanie się Niemców musiało lotem błyskawicy roznieść się po całym mieście?

— Oczywiście. Mój młodszy brat, Józef, był wtedy właśnie w gmachu Rady Ludowej. W pewnej chwili wpada do mojego biura pokrwawiony, obity i w podartym ubraniu wołając, że Niemcy strzelają w mieście. Ja odbywałem wtedy właśnie, jak codziennie, odprawę w gmachu sądowym przy ul. Młyńskiej z dowódcami 8 kompanii Batalionu Służby Straży i Bezpieczeństwa.

— Batalion ten, jak wiadomo, odegrał w czasie Powstania dużą rolę. Czy mógłby Pan General kilka słów powiedzieć, co to była za formacja wojskowa?

— Poznań był wielką bazą wojskową. Znajdowały się tu ogromne magazyny wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego, wysyłanego do oddziałów niemieckich walczących na wschodzie. Po rewolucji berlińskiej (10 listopada) nastroje w armii niemieckiej były jak najgorsze.

GENERAL WŁADYSŁAW ANDERS

ZAMIAR ZAJĘCIA GDA

PO ROZBROJENIU Niemców w Warszawie w początkach listopada 1918 roku zostalem powołany — byłem wówczas podpułkownikiem — do Sztabu Generalnego odradzającego się wojska polskiego. Szefami sztabu byli kolejno generalowie Szeptycki i Rozwadowski. W krótkim czasie złożyłem podanie o przeniesienie do linii i obiecano mi stanowisko zastępcy dowódcy 4. pułku ułanów. Sprawa się nieco przeciągała, aż do czasu objęcia szefostwa oddziału sztabu, w którym pełniłem służbę przez ppłka Rybaka z b. armii austriackiej.

27 grudnia wybuchło Powstanie Wielkopolskie. Bohaterski zryw młodzieży i społeczeństwa poznańskiego zdzielił okowy pruskiej niewoli i nie oglądając się na pertraktacje i obietnice przesażił o rychłym powrocie przestarzałej dzielnicy piastowskiej w granice Rzeczypospolitej. Walki oddziałów powstańczych, organizujących się samorzutnie i bez niczyjej pomocy, trwały w całej zaciętości, gdy w pierwszych dniach stycznia 1919 r. wezwał mnie general Dowbór-Muśnicki, by mi oświadczyć, że został powołany przez Naczelną Radę Ludową w Poznaniu na stanowisko Głównego Dowódcy Wojsk Wielkopolskich. Otrzymałem też polecenie przywiezienia ze sobą grupy oficerów starszych, specjalistów różnych broni i służb, których brak zupełnie dawał się odczuwać na miejscu. W Poznaniu, General Dowbór zaproponował mi wyjazd ze sobą w charakterze szefa sztabu. Zawiadomiłem mnie przy tym, że zarówno jego własny wyjazd jak i grupy oficerów został uzgodniony z Komendantem Józefem Piłsudskim.

Wszyscy mieli dość wojny i każdemu spieszyło się do domu. Liczne oddziały były w pełnej demobilizacji. U Niemców powstała przeto myśl powołania specjalnych oddziałów wartowniczych. Myśl ta została sprytnie podchwyciona przez Mietka Palucha, Wierzejewskiego i Hulewicza i pod pozorem, że się wykonuje rozkaz niemiecki, otworzono liczne biura werbunkowe, które przyjmowały ochotników do oddziałów wartowniczych. Oczywiście tylko ochotników polskich. Gdy zgłosił się Niemiec mówiono mu, że już nie ma miejsca. W ten sposób powstała duża jednostka wojskowa, składająca się całkowicie z Polaków, choć w mundurach niemieckich i na gaży niemieckiej. Ja zostałem 1-ym adiutantem tego baonu czyli właściwie jego rzeczywistym dowódcą. Baon podzieliliem na 8 kompanii po 180 ludzi każdy. Była to właściwa zawiązka przyszłego wojska polskiego. Niemcy nie polapali się w tym planie. Ponieważ w zasadzie baon miał się składać w połowie z Polaków i w połowie z Niemców postąpiłszy w ten sposób, że np. gdy dowódcą kompanii był Polakiem o polskim nazwisku, to jego zastępcą miał czysto niemieckie nazwisko, choć był także Polakiem.

... co się działo po otrzymaniu wiadomości o awanturach niemieckich?

— Ponieważ właśnie w tym momencie znajdowali się u mnie dowódcy wszystkich ośmiu kompanii dałem im rozkaz wykonania planu, który mieliśmy od dawna ustalony. Rozkaz ten przekazałem kompaniom telefonicznie, tak że zanim dowódcy dojechali do swych oddziałów już wszędzie panował stan alarmo-

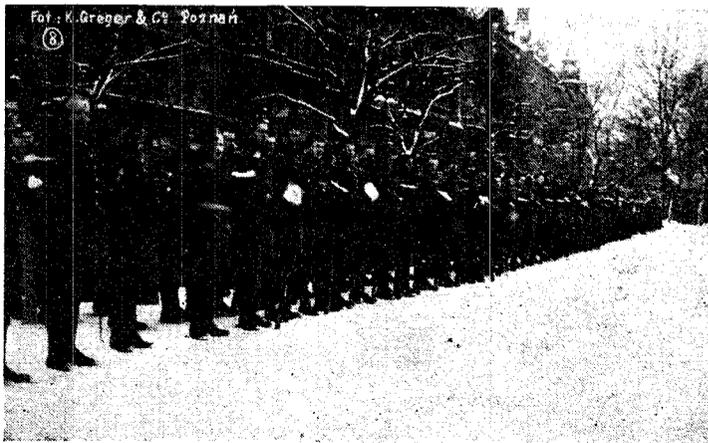
W połowie stycznia znaleźliśmy się w Poznaniu.

Historia samego powstania i walk z Niemcami przez następne miesiące wybiega poza ramy tych krótkich uwag. Przypomnieć więc chcę tylko tutaj, że general Dowbór-Muśnicki przejął obowiązki Głównego Dowódcy od pełniącego je dotychczas majora Stanisława Taczaka. Na miejscu, w Poznaniu, zastaliśmy już ppłka Juliana Stachiewicza, jednego z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Uważałem za słuszne zaproponować generalowi Dowbór-Muśnickiemu, by na szefa sztabu wyznaczony został ppłk Stachiewicz. Ja zaś chętnie pozostanę w sztabie dopóty, dopóki nie będzie ukończona jego organizacja, z tym, że po zakończeniu wyznaczonych mi prac, i gdy tylko general Dowbór-Muśnicki uzna to za możliwe, otrzymam przydział do linii w Wojsku Wielkopolskim.

Po krótkiej rozmowie general Dowbór zgodził się na moją prośbę i zostałem mianowany kwatermistrzem głównego dowództwa armii wielkopolskiej. Faktycznie byłem zastępcą ppłka Stachiewicza. Moja z nim współpraca układała się jak najlepiej. Jednakowoż nastąpiły tymczasem pewne tarcia między nim i Naczelną Radą Ludową, wskutek czego stanowisko swe opuścił. Objąłem po nim szefostwo sztabu w pierwszych dniach lutego 1919 roku.

Wielkopolska była ciągle jeszcze w ogniu walk i general Dowbór-Muśnicki musiał zajmować się nie tylko należytą organizacją powstającego wojska, lecz także kierować walką na poszczególnych frontach. Były to walki bardzo ciężkie. Toczyły się szerokim łukiem od Kujaw aż po Ostrzeszów. Organizacja poszczególnych jednostek następowała często w polu. Niemniej wznosiła dyscyplina i patriotyzm żołnierza sprawiał, że prace nad tworzeniem związków wyższego szczebla, do dywizji włącznie, jak również działanie służb i tyłów dawały zaskakująco dobre wyniki w nadzwyczaj krótkim czasie.

Pod naciskiem aliantów, a w szczególności marszałka Focha, podjęte zostały pertraktacje o rozejm ze stroną niemiecką. Miały się toczyć w Berlinie. W skład delegacji wyjeżdżającej z Poznania weszli członkowie Naczelnej Rady Ludowej: Wojciech Korfanty, ks. Adamski, p. Krysiwicz i dr Czesław Meissner, oraz ja jako szef sztabu głównego dowództwa. Pertraktacje trwały trzy dni (od 2 do 5 lutego) i nie dały rezultatu. Wreszcie linia demarkacyjna została narzucona 16 lutego 1919 r. decyzją marszałka Focha w Trewirze, lecz pomimo nacisku szefa misji alianckiej, francuskiego generał Niessel, do zawieszenia broni nie doszło. Walki



Kompania 1. p. strzelców wlkp. (późniejszy 55 pułk piech.) składa w dniu 18 stycznia 1919 r. przysięgę na Placu Wolności w Poznaniu. Była to pierwsza przysięga oddziałów wielkopolskich. Drugi z lewej ppor. Antoni Szymański, oficer sztabu pułku, późniejszy attaché wojskowy w Berlinie.

WIELKOPOLSKIE

7 grudnia 1918 r. w Poznaniu

M ZYGMUNTEM ŁAKIŃSKIM

Wy. Każdy wiedział co ma robić. Otóż z 8 kompanii: dwie z fortu „Pritwitz” miały wzmocnić wartość główną na Starym Rynku. Jeden pluton miał obsadzić pocztę główną i ubezpieczać od strony koszar artylerii na ul. Solnej. Kompanie z fortu „Rauch” miały obsadzić 2 plutonami dworzec na Tamie Garbarskiej i ubezpieczyć od strony Biedruska, obsadzić gazonem miejską a 1 pluton trzymać w odwodzie w rejonie mostu na Warcie. Druga kompania miała wzmocnić wartość na Zamku, gdzie w czasie walk było moje miejsce, z którego dowodziłem całąścią batalionu. Z Zamku bowiem było najbliżej do Dworca Głównego i do mostów na Kaponierze i Teatralnego. Kompania z fortu „Grolman” ubezpieczała od przedmieścia Wilda, gdzie znajdowały się koszary niemieckich saperów oraz ubezpieczała od strony dzielnicy św. Łazarza. Kompania z ul. Bukowskiej wzmocniała wartość w Zakładach Mundurowych i ubezpieczały jednocześnie od strony Solacza, gdzie znajdowały się koszary niemieckiej artylerii ciężkiej, wreszcie 2 kompanie miały odciąć załogę niemiecką 6. pułku grenadierów i kawalerii od śródmieścia i zdobyć koszary.

Wszystkie kompanie wykonały wyznaczone zadania. Jedynie gmach prezydium policji i dworzec główny zostały opanowane później. Nie mogłem oddać, że kompania, która szła na Zamek nie obsadziła po drodze gmachu prezydium policji obok którego musiała przechodzić. Niemcy sądząc że jest to wojsko niemieckie, z pewnością byłiby żołnierzy wpuścili do środka i gmach

byłby w rękach polskich. Oczywiście nie jest to wina dowódcy tego oddziału, bo: 1) nie wiedział, że prezydium policji jest obiektem niemieckim, 2) jego zadaniem było dojść do Zamku. Później doszło do walk o ten gmach, w czasie których poległ pierwszy powstańca w Poznaniu, dowódca plutonu śp. Franciszek Ratajczak. Ja pozostałem i rana w Zamku, dokąd dowódcy kompanii przysyłali mi meldunki ze swych odcinków.

Dworzec został opanowany około godz. 11-ej w nocy przez mego zastępcę, Chądziłkę. Był to ważny sukces, bo tędy przechodziły ogromne transporty wojskowe, które, doskonale z nami współpracujący kolejarze poznanscy, kierowali natychmiast do Niemiec nie pozwalając na dłuższy postój w Poznaniu, zatrzymywano natomiast transporty zaopatrzeniowe i wyładowywano je na boczniach.

Zdać sobie sprawę, jak niezwykle musiała to być noc, a zwłaszcza następnego dnia, w którym po raz pierwszy od 120 lat Poznań znalazł się znowu w rękach polskich.

Podniecenie było olbrzymie. Bo wszystko stało się szybko. Zgłaszało się tysiące ochotników, których mundurowaliśmy w fortach, gdzie od szeregu tygodni przewoziłem nocą broń i sprzęt z transportów wojskowych z dworca głównego, ukrywając go skrytnie przed Niemcami. Dzięki temu mogliśmy natychmiast umundurować i uzbroić tysiące ludzi. Młodzi, byliśmy pełni entuzjazmu, natomiast w Naczelnej Radzie Ludowej, w której zasiadali starsi i ostrożniejsi działacze, choć byli to wypró-

bowani patrioci, ta nasza gwałtowność w działaniu wywoływała pewne zastrzeżenia. W związku z tym i Paluch i ja zostaliśmy wezwani do Bazaru, gdzie Korfanty robili nam wyrzuty obawiając się komplikacji politycznych.

— Rozumiem, Panie Generale. Ale przecież siły niemieckie w samym mieście i w okolicy liczyły około 15 tys. żołnierzy, i Poznań, mimo trwających już od kilku tygodni solidnych przygotowań, nie był jeszcze gotów do walki. Co by było, gdyby nie było prowokacji niemieckiej w dniu 27 grudnia?

— Na prowokację niemiecką odpowiedzieliśmy spontanicznie i odruchowo. Ze działaliśmy słusznie dowodem jest osiągnięty sukces. Gdyby nie prowokacja niemiecka, z naszej strony doszłoby do zbrojnego wystąpienia dopiero gdzieś około Wielkanocy 1919 roku. Tak przynajmniej przewidywał mjr. Paluch, dając wytyczne do zakończenia przygotowań do tego okresu. Niemcy byli jednak zdemoralizowani. Dezercja była masowa. Taki np. 6. pułk grenadierów w koszarach na Jeźcach, stępiał w ciągu 2 dni o połowę. Mieliśmy z nim zresztą trochę kłopotu. W myśl bowiem umowy z Radą Ludową żołnierze mieli siedzieć w koszarach spokojnie i nie brać udziału w walkach, inaczej nie otrzymają od nas żywności. Mimo to strzelali z karabinu maszynowego wzdłuż ulicy, zadając straty naszym żołnierzom. Wobec tego udałem się jako parlamentarzysta do koszar, by ostrzec dowódców niemieckich. Rzeczywiście w pokoju szczytowym znajdowało się zabezpieczone stanowisko karabinu maszynowego. Zrobiłem o to awanturę oficerom niemieckim grożąc, że w razie powtórzenia strzelaniny nie zostanie im wydany prowiant. Po tej rozmowie otoczyli mnie żołnierze niemieccy oświadczając, że mają wszystkiego dość i że chcą iść do domu. Odpowiedziałem, że z naszej strony nie ma żadnych przeszkód, wszystko zależy od ich własnych oficerów. My — wytrzymamy. Oczywiście oficerowie niemieccy mieli do mnie pretensje, że robię propagandę wśród żołnierzy, będąc jednocześnie parlamentarzystą. Cała awantura zakończyła się w ten sposób, że na mocy układu z Radą Ludową cały pułk mógł wyjść z koszar z bronią w rękę, bez amunicji. Wyznaczoną trasą, obstawianą przez „wiarę” poznańska, pułk przeszedł na dworzec ławicki, skąd wyjechał do Niemiec. Na tym tle było duże niezadowolenie wśród naszych żołnierzy. Umowa jednak była umową. Niezadowolenie naszych żołnierzy wyładowało się brawurowym uderzeniem na lotnisko w Ławicy, które zdobyto w tym samym dniu. Dnia 6 stycznia 1919 roku cały Poznań był w polskich rękach.

— I ostatnie pytanie, Panie Generale. Zdać się, że w tym właśnie czasie powstał pierwszy załazek wielkopolskiej artylerii?

— To jest dość skomplikowana historia, przedstawia ją jednak w kilku zdaniach. Dnia 2 stycznia 1919 roku zdemeliłem funkcje w sztabie dowódcy na Placu Wolności i wraz z kolegami Marciniakiem i Sokolnickim przenieśliśmy się do koszar artylerijskich na ul. Solnej, gdzie przystąpiliśmy do formowania artylerii. Ochotników było wielu, natomiast nie było dział. Zaledwie 2 połówki i 6 haubic. Ten skromny sprzęt uzupełniliśmy niezwykle zdobywcą. Dzięki informacji jakiegoś chłopca z Chwaliszewa dowiedzieliśmy się, że na Warcie płynie „berlinka” pełna armat. Więc szybko w pozoń i przydzieliliśmy ją pod Szlagiel. Okazało się, że znajdowały się na niej działa z 1870 roku, w dobrym wprawdzie stanie, ale... bez amunicji. Zadzwoniłem do dyrektora zakładów Cegielskiego, zapytując się, czy Cegielski wyrabia amunicję. Owszem, tylko prosimy o rysunki techniczne. Takich rysunków oczywiście nie mieliśmy. Na szczęście znaleźliśmy na strychu jakieś stare instrukcje szkoleniowe, w których znajdowały się prymitywne rysunki i na ich podstawie Cegielski po tygodniu dostarczył nam granaty z zapalnikiem uderzeniowym. Były to zresztą bardzo celne działa, choć strzelające zaledwie na odległość 3,5 km. Oczywiście z biegiem czasu ilość dział się zwiększyła i wysyłaliśmy je wraz z wyszkoloną obsługą na różne odcinki frontowe pod Zbąszczyń, czy Leszno, czy Kejny.” (p.h.)



Gen. Dowbór-Muśnicki przy wręczaniu sztandaru na dziedzińcu koszar przy ul. Grunwaldzkiej. Za generałem adiutant por. Zygmunt Pluciński.

DR LEON SURZYŃSKI

CO MIAŁ POWSTANIEC W SWYM TORNISTRZE ?

CHARAKTER dzielnicowy Wielkopolski kształtowały w wieku XIX warunki polityczne i społeczno-gospodarcze narzucone przez zabórce pruskie. Po powstaniu listopadowym powrócił z Paryża do Poznania ówczesny emigrant polityczny, pułkownik powstania, znakomity lekarz i społecznik dr. Karol Marcinkowski. Przywoził on do Wielkopolski z Francji hasło Guizota: „Instruisez vous, enrichissez vous et étendez!”. To hasło pracy organicznej przyswiewało kilku dalszym pokoleniom w Wielkopolsce. Powstał zdrowy, zamożny i patriotyczny stan średni. Dzielnic wielkopolską pokryły tak charakterystyczne dla niej Banki Ludowe i „Rolniki”. Powstało coś na kształt moralnego państwa polskiego w państwie pruskim. Miało ono charakter obronny. Broniono zagrożonych praw narodowych i gospodarczych.

Gdy pierwsza wojna światowa skończyła się 11 listopada 1918 roku klęską Niemiec, powstały w Wielkopolsce — podobnie jak w pobitej Rzeszy Niemieckiej — Rady Żoł.-Robotnicze. Wielkopolanie opanowali te Rady jako narzędzia bezkrwawej rewolucji. W dniu 3 grudnia 1918 roku zwolano do Poznania Sejm Dzielnicowy. Przed zebraniem posłami stanęła między innymi najważniejsza — sprawa, mianowicie sprawa granic zachodnich odradzającej się Polski. Rozejm w Compiègne z dnia 11 listopada 1918 roku nie zawierał żadnych postanowień w sprawie granic Polski. Narod.-demokratyczna większość starszego społeczeństwa wielkopolskiego miała pełne zaufanie do ententy i wierzyła, że w traktacie pokojowym uzyskamy drogą dyplomatyczną właściwą granicę zachodnią. Stąd stanowczy opór w stosunku do jakiegokolwiek aktu zbrojnej lub powstańczej. Stanowisko oficjalne sformułował w dniu 3 grudnia 1918 roku na Sejmie Dzielnicowym ks. Stanisław Adamski, żyjący dzisiaj jeszcze biskup śląski, jako reprezentant Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej, ówczesny egzekutywy politycznej Wielkopolski. Oto co mówił: „Stanęliśmy z góry na stanowisku, że o granicach zachodnich państwa polskiego stanowić będzie kongres pokojowy i oświadczaliśmy, że wyroku kongresu oczekiwaliśmy z spokojem i z zupełną ufnością. Próby oderwania części kraju gwałtem mogłyby nam raczej tylko podciąć sympatię u tych, od których pomocy w wysokim stopniu zależymy. Nie chcemy odrywać się od Niemiec gwałtem przed kongresem i nie chcemy walki z tą częścią ludności niemieckiej zasiedlającej, która zawsze żyła w zgodzie z Polakami”.

I jak się to stało, że 24 dni po tym oświadczeniu wybuchło zwycięskie powstanie wielkopolskie?

Praca organiczna nie była pełnym wyrazem tradycji dzielnicowej ziemi wielkopolskiej. Nie było powstania ogólnonarodowego, w którym by Wielkopolanie nie brali wybitnego udziału. W szeregach powstańców 1831 i 1863 spotykamy sporo Wielkopolan. Wielkopolska miała i swe własne powstania w roku 1846 i 1848. W połowie wieku XIX czytamy w listach wielkopolskiego poety Ryszarda Berwińskiego zwroty o czynie zbrojnym, które żywo przypominają późniejsze sformułowania Józefa Piłsudskiego. Bezpośrednio przed pierwszą wojną światową wielu sokołom i harcerozom wielkopolskim myśl o walce zbrojnej nie była obca.

Warunki polityczne w b. zaborze pruskim nie pozwalały na poważniejsze jawne czy też konspiracyjne prace wojskowo-przygotowawcze. Miała jednak Wielkopolska swą reprezentację w pracach wojskowo-niepodległościowych, prowadzonych na terenie b. zaboru austriackiego — tak w drużynach strzeleckich jak i w POW. Istniały komórki organizacyjne tych ruchów na terenie Wielkopolski. Na kursie letnim drużyn strzeleckich w roku 1914 w Nowym Sączu,

była liczna reprezentacja Wielkopolski. POW posiadała w listopadzie 1918 roku w Poznaniu biuro werbunkowe i oddział kilkudziesięciu powoiaków z karabinami i amunicją.

Oddział ten dokonał tzw. „zamachu na ratusz” w dniu 13 listopada 1918 roku. Była to demonstracja wojskowa ze strzelaniną przed ratuszem, dzięki której Polacy zmajoryzowali Niemców w Radzie Żołniersko-Robotniczej, co miało duże znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków politycznych. Twierdzenie, że drużynicy czy powoiacy wywołały powstanie, jest nieścisłe. Ruchy te były zbyt słabe, aby zaważyły decydująco na szali wypadków. Indywidualni ich wychowankowie znaleźli się oczywiście w pierwszych szeregach walczących.

A zatem: 1) Wielkopolskie Powstanie wybuchło nie z woli, lecz wbrew woli kierownictwa politycznego. 2) Ani ruch drużyniarzy, ani POW nie dało powstańcom ani sztabu z wodzem ani planu akcji.

WYBUCH powstania wielkopolskiego i jego zwycięski przebieg zawiądzamy wyłącznie patriotycznej postawie i odruchowej powszechnej akcji młodego pokolenia wielkopolskiego bez różnicy poglądów politycznych. Zdemobilizowani po czteroletniej wojnie młodzi żołnierze wielkopolscy nie chcieli złóżyc decyzji w sprawie zachodnich granic w ręce dyplomatów zachodnich. Nie okazali oni po wieloletnim wysiłku wojennym zmęczenia. Odruchowo zdecydowali wbrew ostrzeżeniom i wbrew woli starszego społeczeństwa wykuczyć polityczny fakt dokonany.

Wpływ polityczny starszego społeczeństwa na młodzież akademicką znalazł po strajku szkolnym w roku 1905 w Wielkopolsce tak samo, jak w innych zaborach. W roku 1908 uciekała się młodzież b. zaboru pruskiego do Ligi i od Stronnictwa Narodowego. Aktywniejsze jednostki społeczeństwa akademickiego b. zaboru pruskiego były przed wojną przekonane o konieczności ruchu zbrojnego w odpowiedniej chwili. Wyrazem tej odmiennej postawy w porównaniu ze starszym społeczeństwem był miesięcznik akademicki „Brzask” redagowany od 1911 roku w Lipsku i w Monachium. Z tej szkoły myślenia politycznego rekrutowało się szereg wybitnych przywódców i działaczy powstańców.

Byliśmy w okresie powstania wielkopolskiego świadkami rzadko w historii spotykanego zjawiska. Był to wspaniały i powszechny „gminoruch”. Nikt nie wołał, a wszyscy szli. Przygodni dowódcy, dawniejsi pruscy żołnierze lub podoficerowie (oficerów było mało) organizowali oddziały i oddziały, drużyny, plutony, kompanie. Gdy kilka lat po powstaniu zorganizowaliśmy w Poznaniu zjazd dowódców powstania, zjechało się ponad 500 dowódców, z których każdy mógł wykazać się, że zorganizował co najmniej mały oddział. Każde doświadczenie zdobyte w armii zaborczej przdało się do walki z tym samym zaborcą. Liczne tomy historyczne wydane przez Towarzystwo Badania Historii Powstania Wielkopolskiego świadczą o bohaterstwie i krwawym przebiegu walk. Staraniem tegoż Towarzystwa, a nakładem Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie ukazała się przed wojną lista strat powstania. Poległych w akcji powstańczej było przeszło 2.000 — więcej, aniżeli w akcji legionowej.

W roku bieżącym obchodzimy, dnia 27 grudnia 40-tą rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego. W tym dniu ruszą w Wielkopolsce pielgrzymki do licznych grobów powstańców z modlitwą i z wienkami. Będą tam na pewno także młodzi i najmłodsi, którzy dowiedli w czerwcu 1956, że są prawowitymi synami powstańców z roku 1918 i 1919. Lecz nie tylko modlitwa i wienki im się należą. (Dokończenie na str. 9)

GAŃSKA W 1919 ROKU

trwały nadal i były zacięte. Przypomnieć warto, że linia demarkacyjna pozostawała w ręku Niemców szeroki pas pograniczny Poznański od strony południowej i zachodniej i, przede wszystkim Bydgoszcz, co odcinało dostęp do Pomorza.

Myślą przewodnią generała Dowbora-Muśnickiego było sformować jak najszybciej dostatecznie silną grupę operacyjną regularnego wojska, by móc pokusić się o uderzenie na Bydgoszcz i Pomorze. Liczyliśmy się z tym, że ofensywa w tym kierunku wywoła natychmiast powstanie ludności. Plan był zachowywany w najściślejszej tajemnicy i był przygotowywany przez nas dwóch tylko, tj. przez gen. Dowbora i mnie jako jego szefa sztabu. Omawialiśmy szeroko możliwość stworzenia faktu dokonanego w postaci zajęcia Gdańska, do czego ofensywa na Pomorze byłaby przygotowaniem. Zdawaliśmy sobie sprawę z wagi historycznej tego rodzaju faktu dokonanego i wiedzieliśmy, że chwila po temu była jedyna, gdyż nie było jeszcze żadnych wiążących decyzji, które by o losie Gdańska przysądzały. Wiedzieliśmy, że plan powinien być wykonany szybko, natychmiast po stworzeniu wystarczająco silnej grupy operacyjnej. Czas bowiem politycznie grał na naszą niekorzyść.

Mieliśmy prawo oceniać, że siły wojska wielkopolskiego będą wystarczające dla projektowanej przez nas ofensywy. W lutym stany przekroczyły 60 000 i rosły dalej.

W pierwszym tygodniu marca 1919 przybył do Poznania premier rządu polskiego Ignacy Paderewski w towarzysztwie działacza z Małopolski, p. Skarbka. W czasie całonocnego zebrania Naczelnej Rady Ludowej, na którym był obecny generał Dowbór-Muśnicki ze mną jako z szefem sztabu, Paderewski przedstawił projekt i prośbę, by Wielkopolska udzieliła wydatnej i natychmiastowej pomocy dla walk toczących się w Małopolsce, w szczególności pod Lwowem. Muszę przypomnieć, że w tym czasie generał Dowbór-Muśnicki zależny był politycznie jedynie od Naczelnej Rady Ludowej, i nie podlegał wojskowo Józefowi Piłsudskiemu, ponieważ administracja wojskowa Polski nie obejmowała jeszcze Poznańskiego.

Wszyscy docenialiśmy powagę położenia w Małopolsce i znaczenie Lwowa. Lwowa wówczas nie znamem i dopiero po poznaniu go zapalałem osobistą, gorącą miłością do miasta Orłąt. Uważałem jednak, słusznie czy niesłusznie — że walkę w Małopolsce uda się nam w końcu wygrać i że znalezione się Lwowa w granicach Polski nie będzie podlegało żadnej wątpliwości. Natomiast zajęcie Gdańska było w moim przeświadcze-

niu możliwe tylko zaraz, w natychmiastowym działaniu wojskowym, gdyż później przekroczy nasze możliwości, przede wszystkim polityczne.

Obydwaj więc z generałem Dowbór-Muśnickim opieraliśmy się twardo projektowi wysłania grupy wojsk wielkopolskich do Małopolski. Stworzyć ją bowiem można było tylko z części oddziałów, które przeznaczyliśmy do ofensywy na Pomorze. Po ich odejściu plany nasze stawały się niewykonalne. Plany te i ich szanse powodzenia przedstawiliśmy Naczelnej Radzie Ludowej i Paderewskiemu.

Jednakowoż, po wielu godzinach, płomienna wymowa Ignacego Paderewskiego przekonała członków Naczelnej Rady Ludowej do jego projektu. Ulegali jeden po drugim. Wreszcie uległ też generał Dowbór-Muśnicki. Jako nieprzekonany zostałem sam. W rezultacie została powzięta decyzja wysłania grupy operacyjnej pika Daniela Konarzewskiego pod Lwów.

Oczywiście zajęliśmy się z jak największą energią zorganizowaniem tej grupy, której wspaniała działalność na froncie małopolskim dobrze jest znana z historii. Już 9 marca 1 p. strzelców wielkopolskich (późniejszy 55 pp) z dywizjonem artylerii wyruszył z Poznania do Małopolski.

Osobliście zwrócić się do generała Dowbór-Muśnickiego z prośbą o przeniesienie do linii. Po zdaniu obowiązków szefa sztabu płkowi Wroczyńskiemu objąłem (30 kwietnia 1919 roku) dowództwo 1 p. ułanów wielkopolskich (15 pułku ułanów poznańskich) z którym spędziłem najszcześniejsze lata mojej służby wojskowej.



Na Placu Wolności w dniu 18 stycznia 1919 r. w czasie nabożeństwa. Przed frontem gen. Dowbór-Muśnicki, Główny Dowódca Wojsk Wielkopolskich. W pierwszym rzędzie od lewej Włodz. Zakrzewski oraz płk A. Pajewski, Julian Stachiewicz, Michalski, Skorzyna, Dubicki, Taczak oraz 3-ci z prawej ppik W. Anders, zastępca szefa sztabu.

WSPÓLNA deklaracja premierów Gany i Gwinei narobiła wiele zamieszania. Obrazili się właścicielom prasy francuskiej podniosła larum, iż jest to jeszcze jeden dowód, „podkradania imperium” jakie perfidny Albion stosował i stosuje wobec Francji od lat. O Kanadę, pogardliwie nazwaną przez Ludwika XV „kilku morgami śniegu”, Seyszele lub Ile Bourbon — Francuzi do Anglików nie mieli i nie mają pretensji. Natomiast do dziś dnia znajduje się chyba w Paryżu kilku emerytów bolejących nad t. zw. „incydentem Faszody”. Istnieje oczywiście cała biblioteka komentarzy na tematy kolonialnej historii Afryki. I tak wylano wiele atramentu o tym jak „horyzontalna”, francuska, koncepcja podboju i opanowania Czarnego Lądu, jako mniej uzasadniona geopolitycznie, uległa, właśnie w Faszodzie, koncepcji „perpendykularnej”, angielskiej.

Szermierzem jej był Cecil Rhodes i bodaj że to on ukuł zawołanie o „drodże żelaznej z Kairu do Cape Town poprzez terytoria Korony Brytyjskiej”. W praktyce bieg wypadków był znacznie bardziej przypadkowy: gdyby kanonierki wyprawy Kitchenera pod Faszodą spóźniły się a major Marchand zdołał połączyć się z ekspedycją etiopską, nie wiadomo jakby potoczyły się koleje Afryki. Nawiasem mówiąc przy tej okazji elementem heroiczno-błażeńskim byli Rosjanie. Płk Artamonow z kilku kozakami towarzyszył Etiopom jako „doradca”. Pił tego i strzelał do perlicka ale doradzał mało. Za to gdy trzeba było zatknąć sztandary francuski i etiopski na drugiej stronie Nilu, skąd zresztą dwa tygodnie przedtem Anglicy wyrugowali Marchanda i jego wymęczonych podróża senegalskich strzelców, Artamonow przeznętnął się i z okrzykiem „ura” przepłynął konno Nil, w którym aż roilo się od krokodyli. Incydent Faszody pozostawił po sobie we Francji jeżeli nie uraz to w każdym razie skłonność do tłumaczenia niepowodzeń w polityce kolonialnej zakulisowymi intrygami angielskimi. Skłonność ta nabrała wigoru podczas, i po 2. Wojnie Światowej.

Nie bez powodu. Rola np. gen. Spearsa na Bliskim Wschodzie z jednej strony, a z drugiej rola francuskiej delegacji w Komisji Czterech Mocarstw dla spraw ex-włoskich posiadłości kolonialnych walcie przyczyniły się do współczesnej nam sowieckiej zakwaski arabskiej rewolucji narodowej. Ambasada brytyjska w Paryżu w odpowiedzi na bzdurne oskarżenia o „podkradanie francuskich terytoriów” wystosowała do prasy francuskiej okólnik. Pisany on był chyba bez głębszego zastanowienia. Komunikat stawia sobie za cel zdławienie w załączku drugiej „legendy pułkownika Lawrence'a, burzyciela zamorskiej Francji”. Tymczasem Lawrence tylko marzył o „splataniu figla Francuzom w Syrii”. Ale marzył jako jednostka, a nie ja-

CZESŁAW JESMAN

Afrykańskie fakty i fantazje

NARODZINY UNII GANAŃSKO-GWINEJSKIEJ

ko twórca polityki, otwartej czy zakulisowej. Zakulisowa potęgą był on tylko w rozgrzanej wyobraźni Lowell Thomasa, swojego amerykańskiego impresario-hagiografa i... w swojej własnej. Poza tym dziś już nie jest tajemnicą, iż trzydziestolecie 1920—1950 w dziejach franko-brytyjskich stosunków na Bliskim Wschodzie i w Afryce da się sprowadzić do formuły: „a na złość tacie niech mnie nos odmarzną”. Jednakże oskarżenie w tej chwili rządu brytyjskiego o zakulisowe działania w Accra jest zupełnie nonsensem. Przede wszystkim dlatego, iż jakkolwiek wzmocnienie wpływow Dra Nkrumah na ogólnofrykańskiej arenie nie leży bynajmniej w interesie Zjednoczonego Królestwa.

„Czarny” punkt widzenia

Minister spraw zagranicznych Gany powiedział ze śmiechem korespondentowi londyńskiego „Daily Telegraph”, że jego rządowi bynajmniej nie chodziło w deklaracji o przysporzenie kłopotów Wielkiej Brytanii czy Wspólnocie. Sprawa była znacznie prostsza: Gwinea znalazła się w ciężkich tarapatach. Rząd francuski cofnął subsydia i urzędników po proklamacji suwerenności gwinejskiej. W Afryce panuje przekonanie, że Francuzi zdecydowali się na dante nauki niezycielowej eks-kolonii. Sowiety z pomocą nie przyszły mimo marksistowskiego słownika Seku Touré, premiera Gwinei. Wzgląd na przedwyborcze szanse Partii Komunistycznej we Francji podział hamujący na wybuchową miłość Nikity Chruszczowa do narodów kolonialnych. Ktoś pieniądze musiał Gwinei dać: najbliższym kandydatem na dobrodzieja był ganański „Ojciec Ojczyzny” Dr Kwame Nkrumah, tym bardziej, iż wzmacnia to jego pozycję wewnątrz kraju. Ale poza tym — dodał minister — wszystko to nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Oczywiście, że nie. Tak międzynarodowe granice wewnątrz Afryki jak i ustroje znakomitej większości krajów, suwerennych i niesuwerennych, są czymś sztucznym. Rzecz jasna, iż w nieokreślonej przyszłości staną się one (pięcioprymiotnikowe prawo wyborcze, parlamentaryzm, prawa jednostki i t. d. i t. p.) jednym z elementów nowego, organicznego obrazu Afryki. Ale w tej chwili Czarny Ląd znajduje się w początkowej fazie gwałtownych przeobrażeń, w okresie „wodzów” i „synów wodza”.

Powstawanie ich jest zresztą nieuchronne. W Kenii jest Tom Mboya, w Tanganjce Dr Jilusz Nyerere, w Afryce Południowej Luthuli i inni, utajeni czy „przycupnięci” potomkowie — ale nie epigoni — resztek zuluskiej arystokracji wojennej. Wszyscy czekają na okazję. W Złotym Wschodzie Afryce i prezydent Liberii Tubman — a za jego plecami potężny koncern kauczukowy „Firestone” — i premierzy „regionów” Nigerii, jak np. Obafemi Awolowo i Dr Azikiwe są przeciwnikami Dra Nkrumah. Oni też, w odległej perspektywie chcieliby aspirować, przy nadarzającej się okazji, do „wodzostwa” Afryki Zachodniej. Wielkiej Brytanii bardzo zależy w tej chwili, w tych okolicach, na pokojowym przejściu suwerenności przez miejscowe władze, na nie dopuszczeniu do rozkładu Federacji Nigeryjskiej z chwilą uzyskania przez nią pełni suwerenności. Interesy

brytyjskie są w równej mierze gospodarcze co polityczne. Terytorialne ambicje premiera Gany — a posiada ich wiele — mogą łatwo stać się w tym układzie elementem destrukcyjnym.

Tradycje własne

Ganański minister spraw zagranicznych miał jeszcze inny, dodatkowy powód do śmiechu. Oczywiście iż deklaracja o zamierzonej unii z Gwineą jest wpakowaniem kija do mrowiska. Ale wówczas tylko jeżeli przyjmuje się zasady obowiązujące w mrowisku za jedynie wiążące. Deklaracja Nkrumah—Touré była blagą ale tylko w świetle międzynarodowego prawa wyrosłego z przesłanek zachodnio-europejskich. Dla „wodzów” i „synów wodza” dzisiejszej Afryki prawo to jest jeszcze jedną obcą konwencją, którą można nagiąć do własnych potrzeb. Dr Nkrumah, wychowanek uniwersytetu amerykańskiego, bardzo sprytnie odzoblił deklarację odwołaniem się do natchnien konstytucji Stanów Zjednoczonych. Akurat! Zwłaszcza, gdy w jego ambicjach krąży zupełnie odmienne autochtoniczne czynniki. Z ducha jest on *nowym wcieleniem* Gany.

Pierwsze wieści o starożytnej Ganie pochodzą z 8 wieku ery chrześcijańskiej. Dominującym elementem jej byli Wangara, szczerp o jasnej skórze wywodzący się z Persji, przynajmniej we własnym przekonaniu. Nie ulega wątpliwości, iż Wangara byli odłamem Fulani, dość tajemniczym do dziś dnia „państwotwórczym” elementem Sudanu, Sahary i Afryki Zachodniej.

Bogactwo Gany było przysłowiowe. Królowie jej posiadali olbrzymią bryłę czystego złota do przywiązywania wierzchołków. El Bekri, hiszpański Arab piszący około tysiąca lat temu, pozostawił bardzo interesujący opis tego mocarstwa, ale topograficzne szczegóły jego są do dziś dnia zagadką: tyle wiadomo, że leżało ono w dzisiejszym Zachodnim Sudanie.

Gana została podbita w r. 1076 przez muzulmańskich Berberów z Maroka. Kraj został zislamizowany i z dawnej świetności nie pozostało śladu, chociaż przez dobrych kilka stuleci państwo istniało jeszcze pod rządami berberyjskich władców. Była to raczej bardzo luźna organizacja państwowa: wspólny mianownik niezależnych państweczek czysto murzyńskich. W XIII wieku jedno z nich, Melle, zamieszkałe przez szczepy Mandingo uniezależniło się od suweren Gany. Sundiata, ułomny niedobitek królewskiej dynastii Melle zamienił swoje imię na Mari Djata czyli Książę Lew, i okazał zupełnie nieprzeciętne zdolności wojskowe i dyplomatyczne. Sumanguru, ostatni suweren Gany został przez niego pokonany i zginął na polu bitwy a stolica jego została zrównana z ziemią. O Ganie ślać zginął aż do chwili gdy nacjonalisci Złotego Wybrzeża w XX wieku uprzedzili nacjonalistów Nigerii w przyswojeniu starożytnego imienia dla własnych potrzeb.

Król „Mansa” Melle był prawowiernym muzulmaninem i echa wspaniałości jego pielgrzymki do Mekki odbiły się aż na dworze królestwa Aragonu. Następcą na tronie Melle był Mansa Musa. Pod jego berłem — a panował 25 lat — królestwo osiągnęło szczyt rozkwitu. Wybrał się on do grobu Proroka w r. 1324 wraz z dworem liczącym 60 tysięcy osób w tym 12 tysięcy młodych niewolnic niezwykle piękności i wszystkich odcieni skóry przybranych w jedwabie i perkie brokaty. 80 wielbłądów było obciążonych złotem na jałmużny. Tam gdzie postój wypadł w piątek budowano meczet. El Omari, historyk syryjski, przejeżdżał przez Kair w dwaście lat po zdumiewającej pielgrzymce i zanotował iż właściwie o niczym innym nie rozmawiano. Z Mekki Mansa Musa przywiózł ze sobą

Abu Iszaka wybitnego architekta arabsko-hiszpańskiego.

Po powrocie z pielgrzymki Mansa Musa rozszerzał w dalszym ciągu granice swojego państwa. W historycznej perspektywie najważniejszym zwiastwem okazało się pokonanie Sultana Mossi, państwa murzyńskiego, ale zislamizowanego. Ośrodkiem jego było Timbaktu, miasto leżące u szczytu luku Nigru. Abu Iszak wybudował tam wspaniały meczet, który stał się, jak prawie zawsze w średniowieczu mahometaniskim, ośrodkiem uniwersyteckim i w przeciągu dwóch stuleci promieniował nie tylko na całą Afrykę Zachodnią, ale na cały obszar Islamu. „Czarny Sultana” Timbaktu w okresie europejskich odkryć geograficznych był jednym z tajemniczych a potężnych magnesów przyciągających na równi z Golkondą Indii i El Dorado Południowej Ameryki i tajemniczym królestwem Arcykapłana Jana, którego podróźnicy średniowiecza szukali od pustyni Gobi aż po płaskowzgórza Etiopii.

Songhai było następnym z kolei po Melle ośrodkiem politycznej krystalizacji Zachodniej Afryki. Dzieje jego zachowały się dzięki przypadkowi. W końcu XVII wieku żył i działał w Timbaktu Abdurrahman Es Sadi. Mimo nienaganne arabskiego imienia był on afrykańczykiem — jeżeli nie Murzynem — czystej krwi. Arcydziałem Abdurrahmana Es Sadi była historia Afryki Zachodniej „Tarikh es Sudan”. Rozdziały dotyczące narodzin państwa Songhai, jego okrutnego władcy Sonni Ali, szturm Timbaktu i rozpadnięcia uniwersytetu stoją na wysokości literackiej kroniki Froissarta. Nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności „Tarikh es Sudan” (dosłownie „Droga Czarnych”) zachowała się.

Afryka, prawie już podzwrotnikowa i niewątpliwie murzyńska przetwarzała mahometanizm do niepoznaki. W granicach Songhai zaczynały narastać pierwsze elementy uniwersalistycznej i oryginalnej cywilizacji murzyńskiej. Sultana Maroka Mulay Ahmed el Mansur nie mógł ścierpieć na południu tak bogatych i tak heretyckich sąsiadów i w r. 1591 najechał Songhai. Nacelnym wodzem marokańskim był Dżuder Pasza, prawdopodobnie poturzeniec Hiszpan; był on bowiem jasnowłosy i błękitnooki. Zresztą artyleria marokańska była obsługiwana przez europejskich renegeatów w służbie sultanskiej. Broń palna przesądziła o losie wojny. Zakończyła się ona zniszczeniem Songhai.

Cywilizacja i zorganizowane życie społeczne zamaryły na następne trzy stulecia i w Zachodnim Sudanie i w całej w ogóle Afryce Zachodniej; uniwersytety i szkoły uległy rozproszeniu; handel powrócił do prymitywu. Żyźne i ludne państwa zamieniły się w dzicz i pustynie, i takimi je zastał Mungo Park na początku ubiegłego stulecia, pierwszy współczesny europejski, który dotarł do Timbaktu.

Dialektyka historyczna

Zoologom udało się odtworzyć wygasłe gatunki zwierząt za pomocą skomplikowanego procesu „krzyżowania wstecznego”. Coś podobnego dokonuje dziś dr Nkrumah. Uczucio- nowawiającej się do świata ukazującego się ze stron „Tarikh es Sudan”. Dla „odczyszczenia przedpola” poczyna też sobie bardzo radykalnie z autentycznymi tradycjami, jak królestwo Ashanti, tępiąc je jako przeżytki szczepowego, ponadczasowego, prymitywu. W tej chwili nie o to chodzi czy Gana współczesna posiada jakiś związek z Ganą historyczną w sensie ciągłości. Niewątpliwie jest ona doniosłym elementem scalającym imperialne sny o potęgę afrykańskiego działacza. Stał też Uniwersytet Leningradzki odczuł ostatnio żywiołowy pęd do studiowania historii Afryki...

(2) W mityce historycznej rodzącej się suwerennej czarnej Afryki nie ma jednakże miejsca na skomplikowane prawne tradycje anglosaskiego parlamentaryzmu. I dla Nkrumah i dla każdego działacza afrykańskiego o szerszych ambicjach, i one same i granice państwowe i pojęcia konstytucyjne, których są strażnikami, nie posiadają ani jednej setnej uroku odtworzonej przeszłości wielkich, wspaniałych i czarnoskórych samodzielników Afryki. Tu też oceaniczne sny księcia Herrika Żeglarka wylaniają się z otchłani czasu jako jedyna alternatywa „rozvodu” pomiędzy Afryką nadchodzących stuleci a światem zachodnim. Portugalski wizjoner pragnął pokonać Islam nie przez narzucanie zwierzchnictwa nieodkrytym lądom, ale przez nawrócenie ich mieszkańców i znalezienie w nich sprzymierzeńców z dobrej woli przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu. Ale dla urzeczywistnienia tego celu obłąkana Europa musiała wyrzucić partycularizmów. Podział nieodkrytego świata na sfery hiszpańską i portugalską przez Aleksandra VI nie był, jak to twierdzą protestanci historycy, przykładem papieskiej arogancji ale zrozumienia istotnych warunków powodzenia.

Tu chwilowo, kończy się komentarz na temat zapowiedzianego zlania się dwóch terytoriów afrykańskich ponad granicami, w pewnym sensie, i „obok” europejskich współczesnych całości obrazu. Rewolucja etniczna wydaje się być dzisiaj siłą elementarną. Przykładanie do niej przestarzałych formuł wytworzonych w znacznie węższych granicach może mieć jak najbardziej pożałowania godne skutki.

Bardzo optycalne

Popularna konfekcja St. Michael. Pasy elastyczne, białe, czarne, róż. lub nieb., średnie i duże, osiągi. do 1.300 zł. 5 szt. 46/6. Szalki Mohair różne kol. 7 szt. 55/-. Szale (stole) Mohair 2 szt. 55/-. Halki nylonowe półszytwe 3 szt. 54/-.

HASKOBA

121, Earls Court Rd., London, S. W. 5.
(Stacja Earls Court) Tel. FRE 7888

30 tys. Polaków w szkołach Wileńszczyzny

Warszawska „Trybuna Ludu” z 27 października przyniosła artykuł o polskim szkolnictwie w Sowietach. Stwierdziwszy, że szkoły polskie istnieją tylko w republikach litewskiej i ukraińskiej (czyli nie ma ich w białoruskiej) i zaznaczywszy, że istnieje kilka polskich szkół średnich w Stanisławowie i Lwowie, „Trybuna” zajęła się szerzej szkołami na Wileńszczyźnie. Stwierdziła, że w roku szkolnym 1957—58 były tam 343 szkoły z polskim językiem wykładowym.

„W tej liczbie — czytamy dalej — 230 szkół początkowych (4-letnich), po ukończeniu których uczniowie kontynuują naukę w innych szkołach, 91 szkół 7-letnich, oraz 22 szkoły średnie. W samym tylko Wilnie pracuje 6 polskich szkół średnich”.

Dowiadujemy się dalej, że na Litwie nauka w szkołach średnich trwa 11 lat, na Ukrainie 10. Istnieją także szkoły dwujęzyczne, a więc polsko-litewskie oraz polsko-rosyjskie. „Trybuna Ludu” przyznaje, że repatriacja może pomniejszyć liczbę dzieci polskich, ale... „jeszcze w bieżącym roku szkolnym liczba uczniów z polskim językiem wykładowym w Litewskiej S.S.R. wynosi blisko 30 tys. osób”.

O sile żywiołu polskiego świadczy także cyfra podręczników polskich, wydawanych w Wilnie. W r. 1951 wydrukowano 17 podręczników w łącznym nakładzie 100 tys. egz., w r. 1958 — już 50 podręczników w 250 tys. egzemplarzy.

Jeżeli, jak wynikałoby z powyższego artykułu, prawie 30 tys. dzieci uczy się w szkołach polskich, to nasuwa się pytanie, ile dzieci polskich jest w szkołach dwujęzycznych, względnie czysto litewskich lub rosyjskich? Można by przyjąć, że jest drugie 30 tys., ale dla ostrożności przyjmijmy 20 tys. Otrzymamy łącznie 50 tys. dzieci polskich. Ponieważ dzieci szkolne stanowią zwykle siódmą część ogółu ludności, więc należałoby wnioskować, że Polaków jest blisko 350 tys. Ze nie jest to cyfra fantastyczna, świadczy fakt, że w warszawskich wydawnictwach reżymowych wymienia się cyfrę niewiele niższą, bo 300 tysięcy.

Statystyka szkolna obejmuje nie tylko szkoły na małym skrawku Wileńszczyzny, lecz także na obszarze przedwojennej Litwy, bliżej Kowna.

Repatriacja pomniejsza liczbę Polaków, lecz silny przyrost naturalny częściowo wyrównuje ubytek. (LWIL).

WSZELKIE LEKI I MATERIAŁY DENTYSTYCZNE

wysyła do Polski, innych krajów i poza linię Curzona

Mgr. L. Oliwa Mgr. B. Dalski

APTEKA LTD.

THE BROMPTON PHARMACY

68, Fulham Rd., South Kensington, London, S. W. 3. Tel.: KEN 7410.

Wszystkie zlecenia wykonujemy natychmiast. Ceny Eksportowe. Apteka czynna do 8-mej wieczorem codziennie. W czwartki do 1-szej.

J E D Y N Y

polski, emigracyjny kalendarzyk na rok 1959

KALENDARZYK KOMBATANTA

w oprawie reksynowej 3/9, skórkowej 7/6

można kupić w

GRYF PUBLICATIONS LTD.

lub w innych księgarniach polskich.

MATERIAŁY. LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES

S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel. KNI 0747

POLSKO-ANGIELSKIE BIURO PODRÓŻY

STANMORE TRAVEL AGENCY

121, Earls Court Rd., London, SW 5.

(Minuta drogi od stacji Earls Court). Telefony: FRE 1155/6.

W POZNANIU PO 11 LISTOPADA

(Dokończenie ze str. 6)

25 października poseł Wojciech Korfanty wysuwa pod adresem Niemców słynne historyczne żądania w słowach:

.... Nie żądamy ani piędzi niemieckiej. W zgodzie z punktem 13 prezydentów Wilsona żądamy z wszystkich 3 zabiorów zjednoczonej Polski, bezpiecznego przystępu do morza, więc z wybrzeżem polskim, zamieszkanym przez ludność bezwzględnie polską, której zastępca zasiada tutaj w parlamencie w osobie posła Łaszewskiego. Żadne sztuczki statystyczne niezdolne są zataić tej prawdy, że w Prusach Królewskich całe lewe wybrzeże Wisły aż włącznie do półwyspu Helu zamieszkałe jest przez ludność polską....

A gdy marszałek Fehrenbach zwraca Korfantemu uwagę, że zapomina, iż jest członkiem parlamentu niemieckiego żądając „oderwania tak obszernych terytoriów niemieckich“ odpowiada Korfanty:

.... Pozwalam sobie zauważyć, że my Polacy od pierwszej chwili, gdyśmy do parlamentu tego wstąpili, uważaliśmy się zawsze za delegację narodu polskiego, tą delegacją jesteśmy i dzisiaj, i mamy specjalny obowiązek bronić tu wyłącznie interesu całego narodu polskiego....

PORZUCMY POGLĄDY ROZBIEŻNE

Dnia 12 listopada odbywają się w Poznaniu dwa wieczerki z udziałem tysięcy tłumów: najpierw w Bazarze a nieco później w Ogródku Zoologicznym. Na jednym i drugim wiecu przemawia Korfanty, przybyły właśnie tego dnia z Berlina. W Bazarze wołał Korfanty: „Przed naszymi oczyma rodzi się wolna i niepodległa Rzeczpospolita, słyszmy potężny szum skrzydeł Orła Białego. ... Obecnie nie chcemy, ale swoje mieć musimy. Ziemię tutaj polskie są, polskimi były i polskie będą i będą głównym składem Rzeczypospolitej....”

Dnia 15 listopada Kolo Polskie w sejmie pruskim i Kolo Polskie w parlamencie niemieckim wydaje odezwy, pod którą znajdują się znów te same popularne i zasłużone dla sprawy polskiej nazwiska. Wśród nich figuruje Wojciech Lipski z powiatu ostrowskiego, ojciec zmarłego niedawno śp. ambasadora Józefa Lipskiego. W odezwie tej wydrukowanej na żółtych już stronicych „Kuriera Poznańskiego“ czytamy m.in.:

.... Wołamy do Was: Porzucmy na chwilę wszelkie poglądy rozbieżne, zdołajmy się na wielki czyn, stwórzmy silny rząd, za którym stanie cały naród. ... Doniosłość chwili wymaga skupienia wszystkich sił narodowych i podziału brzoźmienia odpowiedzialności na kota najszersze. Przyszła Polska ludowa będzie (słowo „ludowe“ ma tu oczywiście zupełnie inne znaczenie aniżeli w dzisiejszej „Polsce Ludowej“ — uw. p. h.) i z ludem tylko stać może. Dlatego powstają za zgodą naszą Rady Ludowej zogniskowane w Naczelnej Radzie Ludowej. Ich rozkazów każdy Polak bezwzględnie słuchać powinien. Szczęść Boże naszej pracy“.

I wreszcie wspomnieć należy odezwy z dnia 14 listopada wywołaną delegatów na Polski Sejm Dzielnicowy na wtorek, dzień 3 grudnia 1918 roku w sali „Apollo“ w Poznaniu. Tekst tej odezwy podpisał komisarz Naczelnej Rady Ludowej: ks. kan. Stanisław Adamski, poseł Wojciech Korfanty i red. Adam Poszwiński.

.... Dostęć polało się krwi polskiej w tej wojnie morderczej — czytamy m.in. — toteż pokojową drogą zamierzamy teraz dojść do upragnionego celu — do utworzenia ZJEDNOCZONEJ POLSKI. Z tego stanowiska nie pozwolimy się zepchnąć przez prowokacje, których nie skąpią ci, co dotąd podżegali naród niemiecki przeciw nam. Stwierdzamy jednakoż, że cierpliwość ludu polskiego na ciężką byłaby wystawiona próbie, gdyby przedstawiciele dawnych władz, którzy dotąd dążyli i uciskali, mieli nie zaniechać swej podziemnej roboty....

Lud polski ma prawo domagać się, aby usunięto tych, którzy starali się wydzierać mu gwałtem mienie, język, ideały narodowe i religijne.

Lud polski ma prawo domagać się zwrotu tego, co narodu jest własnością. Zbrodnia rozbioru wota bowiem o naprawę krzywdy dziejowej.

Interesy nasze domagają się koniecznie jednolitego ośrodka kierowniczego w ruchu polskim dzielnicy naszych.

Utworzenie Naczelnej Rady Ludowej dokonana się na podstawie szczerze demokratycznych przez delegatów NARODU POLSKIEGO wybranych głosami wszystkich mężczyzn i niewiast polskich, które ukończyły 20 rok życia. Wybranych delegatów zwolujemy na Polski Sejm Dzielnicowy....

Sejm Dzielnicowy wytknie nam drogę działania na najbliższą przyszłość:

- 1. Wybierz Naczelną Radę Ludową, jako zwierzchnią władzę naszą, aż do chwili objęcia dzielnic naszych przez Rząd Polski.
- 2. Określi zasady sprawowania jej rządów tymczasowych.

3. Zatwierdzi nasze żądania narodowe, tylekrotnie nieugięte wypowiediane przez Kola poselskie....

4. ... Polacy. Z morza krwi unosi się BIAŁY ORZEŁ, odrodzonej Polski, spełnienie naszych tęsknot, pragnień i nadziei, które nas krzepiły w ciężkich przeżyciach narodowych. Stańmy do szeregu, by utwierdzić podwaliny Polski. Polacy! Chwila obecna żąda od nas spokoju, napięcia wszystkich sił, poświęcenia materialnych, karności i zgody....

Nadszedł dzień 3 grudnia... Rządzący, nawet w okresie niepodległości, Poznań przyzywał tak uroczyście chwile. Wszędzie powiewają sztandary narodowe, z dachów, z balkonów. W oknach orły polskie. Główne ulice, którymi miał iść pochód do fary na uroczyste nabożeństwo ozdobione girlandami, strojnymi szarfami narodowymi. Obok orłów w oknach podobizny Kościuszki, Poniatowskiego, Sobieskiego, Wilsona. Oto sceny, które czyta się nawet dziś, po czterdziestu latach, ze wzruszeniem.

.... Od Chwaliszewa (jedna z dzielnic Poznania — uw. p. h.), najpiękniej przystrojonego, tonącego literalnie w powodzi czerwono-białych sztandarów i wieńcy, publiczność tworzy szpaler przez ulicę Szeroką, Rynek, Jezuitską do rary... Prymas przejeżdża wśród gromkich okrzyków: „Niech żyje“.

Przed Bazarom obrazek godny pędzla malarza: dwoje siwowłosych pochyłymi wiekiem starszuchów obejmujące się szlochając, wskazując sobie orły i barwy narodowe — płaczą ze wzruszenia, że dane im było doczekać się chwili tej radości, gdy Poznań się przybrał w szatę uroczystą, żeby uczcić pierwszy od 150 lat Sejm narodowy... Fara cała przepiękna, obrymnie wnętrza świątyni zapelnione wiernymi. W presbiterium kupi się przeszło 100 księży... Prymas celebrował nabożeństwo w asyście ks. ks. ojca Meissnera, prał. Lukomskiego, prał. Adamskiego, kanonika Zwolskiego....

W czasie mszy św. wygłasza ks. prałat Stychel kazanie, utrzymane w stylu i języku Skargi:

.... I sprawił Bóg, Sprawiedliwy Sędzia, że... ci przybysze, co polską posiadali ziemię, wypychając lud na niej zrodzony, — wiją się w udreće i pojąc nie mogą, że ziemia polska oddana być musi....

Ci, co działacie polską obcym duchem truli, by znieprawić młode pokolenie, zniszczyć narodu nadzieję i przyszłość — dziś, niepewni losu własnych przyszłych pokoleń, z przerażeniem czekają przyszłości....

Sejm nasz dzielnicowy, niech się stanie jako świeca pochodnia dla narodu, przy budowie państwa.

Póki całość nie stanie — wołał kaznodzieja — póki kongres narodów nie wykreśli granice, a rząd polski na wszystkich narodu oparty silną ręką nie umiesteru nawy państwowej, gotujemy w tej dzielnicy złomy i podwaliny pod przyszłą budowę. Gotujemy się, uprawiamy się... W jeden zewzrymy siły nasze hufiec, do napaści nieskorny, do obrony gotów i jeden podniesmy wspólny głos potężny z żądaniem tego, co się nam należy....

... Witaj, nam witaj, Ojczyzno miła, witaj, Matko, z długiego wstająca letargu. Garnie się do Twoich kolan z wrzesinkami dziećmi cała polska działa wa ze skargą, że źle jej było za macosznych czasów. Spiesz ku Tobie lud polski, pewien już, że pod Twoją opieką znajdzie dach własny nad głową. Otaczamy Cię kołem wszystkie polskie stany i ślubujemy służyc Ci wiernie do ostatniego tchu, wyzbyć się prywaty, rzucić precz niegodę, nadeszłyśko ukozać wspólnie Polski dobro....

Po mszy rusza pochód do sali sejmowej... Na czele idą harcerze i Sokoli. Tymy ustawione wzdłuż ulic śpiewają: „Boże coś Polskę“, to znów: „Jeszcze Polska nie zginęła“, to znów: „Jeszcze Polska nie zginęła“, to znów: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Delegatów poszczególnych ziem witają potężne okrzyki: „Niech żyją Mazurzy“, „Niech żyje Warmia“, „Niech żyją Kaszuby“, „Niech żyje Śląsk“.

Obrazy otwiera prezes Kola parlamentarnego Władysław Seyda. Zabiera głos ks. Prymas Edmund Dalbor... Marszałkiem Sejmu zostaje robotnik i poseł z Poznańskiego, Nowicki, wicemarszałkami: Łaszewski z Grudziądza, ks. Barczewski, Piecha i Rymer... wysłane zostają telegramy (uzasadnia je Korfanty) do Ojca św. Benedykta XV, prezydenta Wilsona, premierów Clemenceau, Lloyd George'a i Orlanda, do rządów czeskiego i jugosłowiańskiego, do Pocha, i z wyrazami czci do bohaterów obrońców Lwowa.

Obrazy trwają trzy dni. W komisjach przygotowywane są projekty uchwał, które stanowią niezmiernie ciekawy program polityczny i społeczny, daleko wybiegający w przyszłość. Trzeciego dnia przyjęte zostają uchwały w sprawie stosunku szkoły do Kościoła (delegacja wypowiadająca się za szkoła wyznaniową), szkoły do rodziców (państwo nie jest jedynie uprawnionym czynnikiem wycho-

wania), szkoły do państwa, rezolucja o stanie nauczycielskim, w sprawie administracji i bezpieczeństwa publicznego, w sprawie żywności, rugów wyborczych, przyjęte zostaje regulamin dla Polskiego Sejmu Dzielnicowego, uchwały w sprawie podatku narodowego, stosunku Rad Ludowych do Rad Żołnierzy i Robotników, Rad Włościańskich, w sprawie agrarnej (parcelacja ziemi), robotniczej, do wychodźstwa.

NAPRAWIĆ WIEKOWĄ KRZYWDĘ

Przyjęte zostały najrozmaitsze uchwały i rezolucje. W uchwale do koalicji czytamy:

.... wnosimy, żeby naprawioną została wiekowa krzywda rozbiorków Polski przez zwrócenie państwu polskiemu tych ziem, które do niego należały przed rozbiorkami, dokonane gwałtem zaborczych autokratów ościenych, a które obejmują także własne wybrzeże morskie oraz zęby... z państwem polskim złączyły się te dzielnice byłego królestwa pruskiego w których mieszka od wieków ludność polska....

4. W obecnym okresie przejściowym, dopóki Rząd Polski, złożony z przedstawicieli wszystkich dzielnic, nie zamianuje wszystkich swoich urzędowych przedstawicieli przy rządach koalicyjnych i do kongresu pokojowego, pozostawiamy obronę naszych praw Polskiemu Komitetowi Narodowemu w Paryżu“.

A w rezolucji do Komendanta Piłsudskiego delegacji stwierdzają, że... Polacy, zamieszkałi w dotychczasowych granicach Rzeszy Niemieckiej, uważają za bezwarunkowo konieczne, aby w chwili obecnej stał na czele państwa rząd silny, mający bezwzględny za sobą posłuch całego narodu. Takim rządem może być tylko rząd koalicyjny, złożony z przedstawicieli wszystkich głównych kierunków politycznych w Polsce i z wszystkich trzech dotychczasowych zabiorów“.

Wysłano również telegramy do Polaków w Ameryce, do Wilna, Krakowa i Warszawy, której przedstawiciel, Wacław Sieroszewski, wityany gorąco, powiadał:

„Po raz pierwszy jestem w Poznaniu, dokąd Prusak nigdy mnie wpuścić nie chciał“.

Jako ostatni zabierają głos Władysław Seyda i Wojciech Korfanty. Seyda podkreśla, że sejm stanowi przełom w dziejach naszych. Odtąd na miejsce kół poselskich jako naczelna władza społeczeństwa występuje N. R. L. A Korfanty, chyba najpopularniejsza wtedy postać w Poznaniu, stwierdza, że Sejm dołożył dojrzałości dzielnicy naszych, okazanej tym osobliwie, że wszyscy stawiają dobru ojczyzny na pierwszym miejscu... oby wszyscy Polacy za przykładem naszych ziem sobie podali rękę do zgody. Zebranych zaś delegatów wzywiał, aby wrócićw do domu, wszędzie roznieśli idee wielkiej, zjednoczonej Polski z dostepem do morza.

Polski Sejm Dzielnicowy wybrał 80 członków Naczelnej Rady Ludowej, reprezentujących: Poznańskie, Prusy Królewskie, Warmię, Mazowsze Pruskie, Wychodźtwa na lewej stronie Łaby, Wychodźtwa na prawej stronie Łaby i Śląsk. Z grona tego zespołu wybrano Zarząd w składzie: dr Bolesław Krysiwicz z Poznania — przewodniczący, ks. dziekan dr Władysław Wolszlegier z Pieniężkowa w Prusach Królewskich i ks. red. Paweł Pojpech z Katowic — zastępcy przewodniczącego, Karol Rzepecki i dr Czesław Meissner — sekretarze. Wybrano także Komisarjat w składzie: ks. kan. Stanisław Adamski, poseł Korfanty (którego przejściowo zastępował ks. prał. J. Prądzyński), red. Adam Poszwiński, poseł Władysław Seyda, poseł Stefan Łaszewski i prezes Zjednoczenia Zawodowego Polskiego Józef Rymer z Katowic.

Po tym zjeździe społeczeństwo zachodnich ziem Polski było duchowo całkowicie przygotowane na wypadki, do których miało dojść zaledwie w trzy tygodnie później, dnia 27 grudnia. Wystarczyło już tylko iskry — którą wznieciły prowokacje niemieckie — aby jednym uderzeniem przejąć we władanie polskie stolice piastową. Ten zryw poderwał Polaków w całym Poznaniu. Lecz to jest już druga faza Powstania Wielkopolskiego, której przedstawienie nie należy do niniejszego tematu.

Paweł Hęciak

Wszystkie cytaty pochodzą z „Dziennika Poznańskiego“ i „Kurieru Poznańskiego“ z okresu wrzesień 1918 do stycznia 1919.

MLECZKO PSCZELE
ORYGINALNE
STABILIZOWANE
APISERUM
24 ampulki
£55.0
Do nabycia lub wysyłki
APTEKA GRABOWSKIEGO
175 Draycott Avenue,
London, S.W.3.
Tel. KEN 0750

Co powstaniec Wielkopolski miał w tornistrze?

(Dokończenie ze str. 7)

Pewne kolo polityczne twierdzą, że nasze granice zachodnie otrzymane w traktacie wersalskim, zawdzięczamy wyłącznie Komitetowi Narodowemu i zabiegom dyplomatyczno-politycznym Romana Dmowskiego. Ignacy Paderewski niejednokrotnie emfaticznie podkreślał, że granica zachodnia jest jego wyłączną zasługą, wskazując na swe polityczno-towarzystwie akcje i kontakty w Waszyngtonie i w Londynie. Niewątpliwie historia nie umniejszy istotnych zasług Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego w tym zakresie. W perspektywie historycznej rośnie jednak znacznie czyny powstańców. Fakt dokonany przez zwycięskie powstanie wielkopolskie miał niewątpliwie dodatni wpływ na nieprzychylnie nam ośrodki w Radzie Najwyższej w Paryżu. A gdy wbrew przewidywaniom Rada Najwyższa dopuściła Niemców do dyskusji nad warunkami pokojowymi i zgodziła się na złożenie przez delegację niemiecką uwag i postulatów, polscy delegaci na konferencję pokojową nie mogli oprzeć się wrażeniu, że dzięki zwycięskiemu powstaniu delegacja niemiecka była pokorniejsza.

Powstaniec wielkopolski wykreslił swym bohaterstkiem czynem nie tylko zachodnią granicę Polski — uczestniczył on także w wyznaczaniu wschodniej granicy. W czasie krwawych walk na wszystkich frontach powstańczych organizowano pospiesznie pulki i dywizje wielkopolskie. Własny dom nie był jeszcze bezpieczny, a już stanął 1-szy Pułk Strzelców Wielkopolskich w Sądowej Wiszni we Wschodniej Małopolsce dnia 18 marca 1919 roku w ogniu nieprzyjacielskim, a w pierwsze święto Wielkonoce wkroczył do oswobodzonego Lwowa.

Józef Piłsudski, przemawiając w rocznicę wybuchu powstania w Poznaniu, wykażal świecne psychologiczne wyciucie i dobrą ocenę historyczną. Podkreślił on dwa elementy najwięcej wartościowe, stanowiące dumę Wielkopolski, a mianowicie: dorobek gospodarczy i organizacyjny w życiu społecznym oraz zwycięskie powstanie. I tak jest istotnie. Praca organiczna i nadmierne zaangażowanie w broń dyplomatyczną nie zabiły w młodym pokoleniu wielkopolskim pędu do prawdziwej i pełnej wolności, jak i wiary we własne siły. Wielkopole nie nie tylko kupcy i społecznicy. Są oni również dobrymi żołnierzami i bojownikami. Dowiodł tego rok 1918—19 jak i rok 1956.

Cóż więc powstaniec wielkopolski roku 1918—19 miał w swoim tornistrze? Na pewno nie miał butawy marszałkowskiej — na pewno nie miał „Myśli Nowoczesnego Polaka“ Romana Dmowskiego, ani też regulaminu musztry Polskiej Organizacji Wojskowej. Za to miał w swoim tornistrze swoją własną Biblię Narodową. Karty tej Biblii zapisała mu matka i rodzina, zapisał ksiądz i nauczyciel tajnej szkoły, zapisał mu działacze społeczni Towarzystwa Czytelnicy Ludowych, Uniwersytetu Ludowych, Sokola, Kół Śpiewaczych i innych licznych pracowniczych i patriotycznych organizacji dobrowolnych. Na kartach tej Biblii uczył się przyszły powstaniec modlić, czytać i pisać po polsku. Nauczył się także tęsknić do pełnej i prawdziwej wolności. Te strumyki i strumienie najszlachetniejszych uczuć patriotycznych i niepodległościowych złączy się w porwującą rzekę czynu powstańczego.

Dr. Leon Surzyński

PRZEGLĄD SPORTOWY

Hokeiści polscy w Hiszpanii

(Korespondencja własna)

Wizyta polskich hokeistów na trawie w Hiszpanii zakończyła się remisem 1:1 uzyskanym w spotkaniu z reprezentacją Hiszpanii. Spotkanie rozegrano w Barcelonie, która w hokeju na trawie jest także głównym centrum tego sportu w Hiszpanii. Reprezentacja Polski, występując z kilkoma rezerwowymi jako reprezentacja Poznania, wygrała z reprezentacją katalońskiego miasta Tarrasy 2:0. Dzięki tym wynikom Polacy powracają do kraju bez porażki, bo treningowy mecz z reprezentacją Paryża, zakończył się wynikiem bezbramkowym. Wyniki te pozwalają na stwierdzenie, że polski hokej na trawie reprezentuje bardzo wysoką klasę, badając jedną z najwyższych w Europie.

Hiszpania oczekiwała spotkań z Polakami z dużym zainteresowaniem i na ogół spodziewano się zwycięstwa odmłodzonej kadry hiszpańskich hokeistów. Rozczarowanie przegrana i remisem, chociaż ochłodziło nieco nadzieje Hiszpanów na wielkie sukcesy ich hokeistów na najbliższej Olimpiadzie, pozwoliło im jednak również podkreślić doskonałość klas naszych hokeistów, poznać całą gamę ich nowoczesnej gry, szybkość, precyzję, kondycję fizyczną, a nade wszystko ich naddzwyczajne zachowanie się na boisku.

W obu spotkaniach Polacy panowali całkowicie na boisku. W Tarrasie mogli uzyskać wynik wyższy, ale najprawdopodobniej oszczędzali się na spotkanie niedzielne. Toteż po uzyskaniu dwóch bramek dali prawdziwy pokaz nowoczesnego hokeja. W spotkaniu z reprezentacją Hiszpanii sytuacja była trudniejsza. Wprawdzie Polacy uzyskali pierwszą bramkę i byli wyraźnie lepsi od Hiszpanów, jednak w drugiej połowie, prawdopodobnie przemęczeni trzema meczami w jednym tygodniu, niast atakować i podwyższyć wynik, zdecydowali się na obronę jednobramkową przewagi. W taktyce tej należy wyróżnić przede wszystkim bramkarza i obrońców. W ataku zaś prasa hiszpańska wyróżnia doskonałą grę braci Fliników, którzy już od kilku lat są filarami naszego hokeja na trawie.

Obronna gra Polaków pozwoliła wyrównać Hiszpanom na siedem minut przed końcem. Gdyby nie spotkanie parryskie i przede wszystkim sobotni mecz w Tarrasie, jesteśmy przekonani, że Polska byłaby wygrała z Hiszpanami zupełnie łatwo.

Przy okazji warto zaznaczyć, że chociaż zagranica, dzięki piłkarskim wycieczkom Real Madrytu uważa się Madryt za centrum sportowe Hiszpanii, w rzeczywistości jednak tak nie jest. Hiszpański sport koncentruje się głównie na północy kraju, przede wszystkim w Katalonii, która obok lekkoatletyki, boksu, pływanina, narciarstwa, koszykówki, siatkówki i gimnastyki, jest też najważniejszym ośrodkiem Hiszpanii w hokeju na wrotkach i na trawie. W zestawionej przeciw Polakom reprezentacji, za wyjątkiem jednego gracza madryckiego, wszyscy pozostali byli Katalończykami. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że polski hokej na trawie koncentruje się głównie w

Poznaniu i poznańskim, możemy śmiało powiedzieć, że w rozgrywkach regionalnych nasze poznańskie dało w skórkę Katalonii. Prawdopodobnie, za wyjątkiem piłki nożnej i gimnastyki, którą reprezentuje doskonały Blume, w pozostałych sportach wynik byłby taki sam, albo nawet lepszy dla Polaków.

S. Tylko

Losowania do ćwierćfinałów o Polchar Europy dały następujące wyniki: Athletic Madryl albo CDNA Sofia przeciw Schalke 04 (Niemcy zach.), Young Boys Brno (Szwajcaria) — Wismut Chemnitz (Niemcy wsch.), Royal Standard Liège (Belgia) — Stade Reims (Francja) i Wiener Sport Klub (Austria) — Real Madryl (Hiszpania). — Międzynarodowe spotkanie Turcja — Bułgaria 0:0 w Ankarze wobec 27 tys. widzów.

Prasa niemiecka z wielkim zainteresowaniem śledziła pierwsze międzypaństwowe spotkanie Polska — Niemcy zach. w podnoszeniu ciężarów. Polacy wygrali lekko 5:2 oddając przy tym jeden punkt bez walki w wadze ciężkiej. Wyznaczony do spotkania zawodnik Sonnenfeld pomylił w drodze z Warszawy do Monachium przesiadkę i spóźnił się na zawody. Wiele słów uznania miała prasa niemiecka dla 26-letniego studenta fizyki Ireneusza Palńskiego i Czempułkowskiego, którzy zaprezentowali klasę światową. Czempułkowski poprawił 2 rekordy Polski.

Hokej. EV Füssen (Niemcy zach.) — Legia Warszawa 8:5. Spotkanie było bardzo emocjonujące i hokeiści polscy pozostawili jak najlepsze wrażenie. Jak pisze prasa niemiecka takie spotkanie ogląda się tylko wówczas, jeśli obydwie drużyny są dobre technicznie i agresywne w ataku. W innym spotkaniu Legia pokonała EC Bad Tölz 4:1 a SC Riessersee 5:3.

Piłka nożna. Międzypaństwowe spotkanie Włochy — Czechosłowacja 1:1 w Genui.

Prasa niemiecka ustaliła, że sportowcem roku jest znakomity jeździec Thiedemann, drugie miejsce zajął zawodowy pięściarz w wadze średniej — Scholtz, mistrz Europy. W klasyfikacji zespołowej pierwsze miejsce zajęła niemiecka reprezentacja lekkoatletyczna, która w roku 1958 nie poniosła żadnej porażki, bijąc m.in. Rosję Sow., drugie miejsce zajęła reprezentacja piłkarska, która zajęła 4-te miejsce w mistrzostwach świata w Sztokholmie, trzecie sztafeta męska 4 x 100 za czas 39.5 sek.

W słynnym samochodowym zjeździe gwiazdzistym do Monte Carlo, który rozpoczyna się 18 stycznia, weźmie udział 360 wozów, w tym 105 brytyjskich.

(p. h.)

Rozmowa pod pretekstem grafiki

POMYŚLAŁO mi się niedawno, że gdyby cierpliwe stoliki w kawiarni Domu Kombatantha w Londynie umiały mówić, albo i pisać, to mogłaby z tego powstać jedna z najciekawszych kronik naszej emigracji. Ile bo też sekretów, zwierzeń, pół-szeptem, przepływno nad lśnącymi blatami; ile wspomnień ludzi, których nieraz jedyną własnością jest ich przeszłość; ile wzruszających słów powitania krewnych i przyjaciół, co nie widzieli się nieraz od lat kilkunastu...

Rozmowa, którą zamierzam w skrócie powtórzyć, nie należy zresztą do żadnej z wymienionych dopiero co kategorii. Była ona pogodna i interesująca przez swą rzeczowość. Temat jej stanowiła grafika — zawód i pasja życiowa jednej ze „stron” rozmawiających, przybyłej niedawno na stałe z Polski p. Zofii Lewickiej.

zem — choć powstały w Polsce — jakby trochę „angielskie” w stylu. — Dostałam za tego rodzaju prace I nagrodę w dziale grafik na Wystawie Wolnych Plastyków w Warszawie w roku 1956.

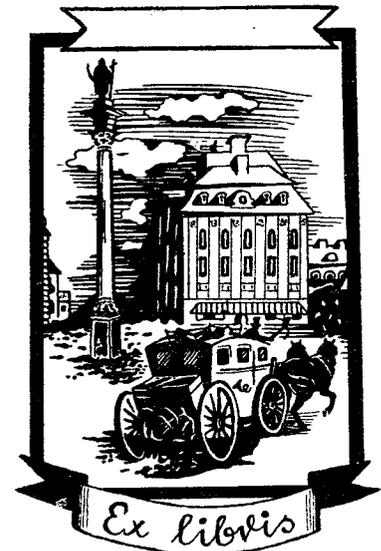
Nie dziwiwie się. Zofia Lewicka ma już zresztą za sobą bardzo wszechstronne osiągnięcia i różnorodnie wykorzystania swego talentu. Robiła m.in. wymagające wielkiej precyzji, oraz wizji całości kształtu przedmiotu na podstawie jego ułamków — rysunki zabytków wykopaliskowych dla Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Wykonywała ilustracje dla podręczników zoologii, a także historii. Projektowała dekoracje wnętrz. Rysowała karykatury i plansze wystawowe.

W związku z tą ostatnią dziedziną miałam kiedyś przygodę, która omal że nie skończyła się dla mnie tragicznie. Był to rok 1953. Na wystawę „Budującej się Warszawy” wykonałam plansze dające w graficznym skrócie panoramę miasta. Znalazł się w tej kompozycji kościół św. Anny (akademicki) na Krakowskim Przedmieściu. Miałam „nieostrożność” zaznaczyć na wieży zarys wmurowanego tam obrazu Matki Boskiej. Nie wyobraża Pan sobie, jaką to wywołało awanturę. Zamknięto całą salę i kazano mi ten fragment natychmiast zetrzeć.

— Co za ponure barbarzyństwo. — Tak, trudno to inaczej określić. Kiedyś już zresztą miałam drogę zapłacić za moje wycieczki ołówkiem. Było to po Powstaniu Warszawskim, w obozie w Niemcezech. Narysowałam karykaturę „Lager-tuehrerki”. Ktoś usłusznie doniósł. Pojechałam na fatalną komenderówkę. Jakoś jednak przeżyłam i jednych i drugich — śmieje się p. Zofia.



— A jakie są Pani plany w Anglii? — Jak dotąd robiłam trochę rysunków dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Chciałabym jednak wejść także jako ilustratorka na rynek brytyjski. A może „pójść” moje ekslibrisy? Miałam już parę zamówień. Na emigracji ludzie też przecież kupują książki. Gryze się w język, przed złośliwym komentarzem, że chyba pokusa posiadania własnego ekslibrisu (coś jakby herbu na sygnecie) okazała się może u tutejszych rodaków silniejsza od potrzeby czytania. Szczęśliwa grafika — mogąca przemawiać bezpośrednio również do obcych. (Rozmowę zapisał Maciej Cybulski)



Na kawiarniano-kombatanckim stoliku rozłożył się przed mną podziwiający oczami asortyment niewielkich, ciekawych obrazków. Są to ekslibrisy, czyli — jak wszyscy wiemy — znaki własnościowe księgozbiorów, wykonane artystycznie i indywidualnie, i przytwierdzone na wewnętrznej stronie okładki książki. Przed wojną ekslibrisy cieszyły się w Polsce rosnącym z roku na rok wzięciem, osiągając najwyższy poziom grafiki i pociągając najwybitniejszych mistrzów tej gałęzi sztuki (by wymienić tylko prof. Ostoja-Chrostowskiego).

Pytam panią Lewicką, czy w obecnych polskich warunkach znajdują one nabywców.

— Nadspodziewanie dużo — odpowiada artystka. — Ludzie w kraju czytają bardzo dużo i dużo książek kupują. Ambicją wielu zbieraczy jest mieć własny ekslibris. Miałam też przed wyjazdem sporo tego rodzaju zamówień.

Uwagi te rozbudzają we mnie coś w rodzaju melancholii. Myślę o tych moich znajomych na emigracji, którzy dorobili się już nie jednego domu, którzy mają nie pierwszy i nie najtańszy samochód, którzy zdążyli kupić w mijającym roku najnowszy model telewizora... Może by tak teraz koleją na książki — na własną bibliotekę, z własnym artystycznym ekslibrisem?

— A co uważa Pani za swoje najlepsze osiągnięcia artystyczne? — pytam odgynawszy marzenia.

Z teści pod stolikiem wylania się kilka oprawionych kompozycji graficznych. Są naprawdę oryginalne, a zarazem

Psychologia dowodzenia

Do redakcji „O.B.” doszła niedawno dziwna mała książeczka. Dziwna — bo tytuł jej brzmi: „Psychologia wojenna”. Na treść zaś składa się 18 utworów wierszowanych. Nie jest to jednak — jakby można sądzić — zbiór poezji wojennych. Raczej mały podręcznik, a właściwie — zgodnie z podtytułem — instrukcja dla młodych dowódców.

Autor, ptk dypl. A. P. Habina, wybrał te formy pisarską dla przekazania przyszłym polskim oficerom podstawowych zasad dowodzenia i zachowania się dowódcy. Tytuły rozdziałów mówią tu same za siebie: „Sylwetka żołnierza”, „Kryzys boju”, „Rozkaz bojowy”, itp. Ujęcie to jest ciekawe przede wszystkim przez nowoczesność wyłożonych poglądów; ma też — naszym zdaniem — duże zalety mnetotechniczne, gdy wziąć pod uwagę, że tekst rymowany jest zawsze łatwiejszy do zapamiętania, od napisanego językiem urzędowym.

Zdobniki, nieco może starszowiekie, projektowała Janina Chrzanowska.

Albin Piotr Habina — Psychologia Wojenna. Biblioteczka „Pogoni”, nr 5 Londyn, 1958. Stron 34.

Polskie życie kulturalne

ODCZYT PROF. Z. L. ZALESKIEGO

Na uroczystość wręczenia nagrody kombatanckiej za rok 1958 przybył z Paryża do Londynu prof. Z. L. Zaleski, jeden z trzech jej laureatów tego rocznych. Od niemal pół wieku pełni on w stolicy intelektualnej Europy rolę stałego reprezentanta, rzecznika, delegata i nieoficjalnego ambasadora polskiej literatury, na długo przed i oby jak najdłużej po śp. Janie Lechoni. Toteż pobyt prof. Zaleskiego w stolicy polskiego wychodźstwa zamienił się w całą serię naukowych i literackich wystąpień, wśród których zabrakło jedynie tradycyjnego obiadu urządzanego przy podobnych okazjach przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Najpierw odbył się wieczór autorski prof. Zaleskiego urządzony przez Zw. Pisarzy w Instytucie Historycznym im. gen. W. Sikorskiego. Na to zebranie literackie złożył się przede wszystkim odczyt laureata pt. „W kręgu trosk i radości krytyki bezpośredniej”. Tematem tym, prelegent — jak to w zagajeniu bardzo słusznie podkreślił prezes W. Wóhnot — przyszedł zarządzonego Związku w sukurs i pozwolił choć częściowo nadrobić niedobory programu imprez urządzanych w minionej kadencji, w której brak było zebrania poświęconego krytyce literackiej.

Sylwetę prelegenta, którego pióro czytelnicy „Orla Białego” znają dobrze z jego okresowych korespondencji z Paryża, przedstawił jego kolega z okresu studiów paryskich, dr W. Guenther, rzucając ją na tło ówczesnego życia literackiego i podkreślając społeczne pojmowanie sztuki i jej krytyki. Główne zasady tzw. krytyki bezpośredniej przedstawił sam jej twórca prof. Z. L. Zaleski w bardzo żywo ujętej pogawędce, pełnej dygresji, dowcipu i entuzjazmu. Nie brakowało w niej i uwag systematycznych, m.in. o podbudowie teorii sztuki i krytyki pojęciami prakseologicznymi: czynności i wytworu, zgodnie z rozróżnieniem przeprowadzonym przez prof. K. Twardowskiego. Dalej mowa była o trzech „wymiarach” sztuki: społeczeństwie, materiale i samej twórczości. Z tych założeń zasadniczych wysunęto były postulaty krytyki bezpośredniej, z nacelnym wymaganiem siły i bezpośredniości reakcji krytyka na dzieło sztuki. Miłość i gniew są niejako dwoma krańcowymi stanowiskami krytyka bezpośredniego, opierającego swe sądy jakby na podbudowanym studium subiektywnym intuicjonistycznym impresjonizmie. Prelegent stanowisko swe przeciwstawił innym rodzajom krytyki, jak strukturalna, formalistyczna, personalistyczna, socjologiczna itp. Prof. Z. L. Zaleski kładzie przy tym duży nacisk na elementy moralno-etyczne. Na marginesie swych rozważań mowa zaatakowała kilku krytyków średniego pokolenia, jak Belga, Claude Baskvius i Polaka W. Weintrauba za ich ujemną ocenę wyreczenia się przez A. Mickiewicza literatury na rzecz działalności politycznej. Argument prelegenta, iż jest to ocena dotycząca dzieł nienapisanych wydaje się nieporozumieniem. Niemniej odważne wystąpienie prof. Zaleskiego było jednym więcej przykładem przestrzegania głoszonych przez niego zasad krytyki bezpośredniej. Pełne swady, szczerości

i wiedzy przemówienie nagrodzili zebra ni huczynnymi oklaskami.

Zebraniu, z racji wręczenia nagród kombatanckich, które zostanie osobno omówione, poświęcimy tutaj tylko tyle uwagi, ile odnosi się to do wystąpienia prof. Zaleskiego. Odpowiadając prof. W. Folkierskiemu, podkreślił on doniosłą rolę, jaką w życiu niepodległościowym emigracji odgrywają kombatancki, dbający o materialną stronę twórczości, czego wyrazem są doroczne nagrody. Na emigracji, względnie nielicznej w stosunku do całości narodu polskiego, spoczywa zadanie reprezentowania rzeczywistej woli i dążeń oraz prawdziwej kultury całego społeczeństwa. Podkreślając nieprzejednane stanowisko emigracji politycznej mowca zrobił dygresję w kierunku granej ostatnio w Londynie sztuki L. H. Morstina „Buntownica”

Prof. Zaleski i tym razem właściwie improwizował całkowicie swe przemówienie. Czynił tak nie tylko dlatego, iż odpowiadał to jego usposobieniu, ale także aby bezpośrednio nawiązać do słów prof. Folkierskiego, który w swym reteracie podkreślił przede wszystkim znaczenia dociekań laureata nad doświadczeniami w obozach koncentracyjnych.

Z przemówienia następnego laureata dra Jerzego Zarneckiego wspomnieć należałoby o dygresji, jaką uczynił on w sprawie tzw. skarbów wawelskich, przechowywanych w Kanadzie. Nawiązując do smutnego losu, jaki spotkał schowaną w schronie Muzeum Sztuki w Krakowie przedłone (dolną część ołtarza) Wita Stwosza i pergaminowe dokumenty uniwersyteckie, które rozpadły się w proch, wspominał on o artykule W. Bassa z uniwersytetu w Ottawie, jaki ukazał się w londyńskim „Timesie”, wyrażając obawy o część zabytków wawelskich ukrytych od 12 lat w kasie filli Banku Montrealskiego w Ottawie.

Wracając do trzeciego wystąpienia prof. Z. L. Zaleskiego, przewidzianego podczas Walnego Zebrania Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii, (które będzie omówione w następnym Kronice Kulturalnej) wypada ze smutkiem zanotować, że prof. Zaleski obłożnie chory nie mógł w nim wziąć osobistego udziału. Przygotowany wówczas przez niego referat został jednak w części naukowej zebrania odczytany przez prof. W. Folkierskiego. Zatytułowany był: „Kilka uwag o stosunku poetów romantycznych do powstania listopadowego” i stanowił arcyciekawy przyczynek badawczy do sprawy „pracy podziemnej” Adama Mickiewicza w okresie powstania listopadowego. Rzuca on nowe światło na niejedyn etap działalności poety w tym okresie, a zwłaszcza podczas jego pobytu w Wielkopolsce. Wyjaśnia też rozwijanie się „kompleksu dezertera” u innych wieszczów, jak Słowacki i Krasiński. A w swej dygresji w terażniejszą prof. Zaleski nawiązał przy tym do bogatej emigracyjnej produkcji literackiej W. Gombrowicza, która mogłaby dostarczyć elementów do „katechizmu doskonałego dezertera”. Referat przyjęty został z wdzięcznością i zaciekawieniem, które znalazło wyraz w interesującej dyskusji i gorącej owacji na cześć autora.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Sensacyjny (podobno) przebieg ośmiodziesięcioletniej rozmowy Nikity z senatorem Humphreym z Minnesota, ciągle jest jeszcze otoczony zasłoną, utkana z tajemnicy. W strzępkach docierają do nas szczegóły i szczegółiki, z których wnosić można, że rozmawiano „o tym i o tym”.

Osiem godzin gadania jest niewątpliwie wycyznym sportowym na miarę maratonu. Zwłaszcza gdy gada się na sucho. I w tym fakcie właśnie dopatruję się właściwej sensacji całego „rozwoworu”. „Przyjęcia” sowieckie, w których morze alkoholu ułatwia wysłuchiwanie góry kłamstw nie są nowością w dziejach nowożytnych. Nie jest też nowością fakt, że „pertraktacje” z sowiecizmem trwają bez przerwy rok za rokiem.

Leć rozmowa ośmiodziesięcioletnia na sucho? Jaktło na sucho? Czyżby gościnnym Chruszczow nie dał nie do wypicia i sam nie nie wypić? Otóż właśnie tak było. Jedynie po obiedzie gospodarz i gość wypili małe kieliszeczki ormiańskiego koniaku. Nie znam tego płynu, więc nie wypowiadam się na temat jego dobroci, lecz smutkiem mnie napawał tak znikoma jego ilość. Coś się poposało w państwie duńskim — jakby powiedział Szekspir. Coś się poposało — jak Nikita wyznał senatorowi — w nerwach nikieich. Wyjaśnia się więc tajemnica częściowej prohibicji (t. zw. zasada jednego stakana) wprowadzona w Rosji. Słusznie. Gdy ja nie mogę — nikomu nie wolno.

„Chyba już chwila Sądu Ostatecznego bliska: Największy mocznik Odogania od kieliszka”

— napisał pięknie poeta w ostatnim numerze „Pokrzyw”.

Polscy posłowie w 86 Kongresie

Przybyło kilku kongresmanów polskiego pochodzenia w nowowybranej Izbie Reprezentantów Stanów Zjednoczonych. Jest ich obecnie dwunastu, dziesięciu demokratów i dwóch republikanów. Ze starej gwardii pozostali J. C. Kluczynski (Dem. Chicago), Tadeusz Machrowicz (Dem. Detroit), J. D. Dingell (Dem. Detroit), Jan Lesiński (Dem. Detroit), Klemens Zabłocki (Dem. Milwaukee), Alvin O'Koński (Rep. Wisconsin). Wybrani po raz pierwszy: Fr. Kowalski (Dem. Connecticut), Edward Derwiński (Rep. Chicago), Roman Puciński (Dem. Chicago), Tadeusz Dulski (Dem. Buffalo) i Stanisław Prokop (Dem. Scranton, Penn.). Daniel Rostenkowski (Dem. Chicago).

Mandaty stracili Sadtak i Siemiński. Gordon i Radwanie ubiegali się o wybór. Wszystkich czterech zastąpili posłowie polskiego pochodzenia.

Wyznanie towarzysza Arskiego

Zwykle, gdy się komuś zarzuca kłamstwo, pacjent broni się gwałtownie twierdząc, że powiedział prawdę. Przycisnięty do muru stwierdza niechętnie, że „się pomylił”. Po raz pierwszy jed-

ODCZYT UKRAIŃSKI

W Instytucie Wschodnim „Reduta” odbył się w dniu 11. 12. 1958 odczyt ekonomisty ukraińskiego magistra Anatola Kaminsky'ego pt. Walka Ukrainy z centralizmem moskiewskim. P. Kaminsky, jeden z przywódców Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Zagranicą w syntetycznym odczycie poddał gruntownej analizie współczesne tendencje polityki rosyjskiej na Ukrainie. Cechą wyróżniającą te politykę po śmierci Stalina jest pewna decentralizacja w zakresie życia zwłaszcza gospodarczego i kulturalnego, wywołana jednak nie zmianą zasadniczego stosunku Moskwy do Ukrainy, ale zachowaniem się mas ludności ukraińskiej, wobec której sztywny centralizm moskiewski staje się po prostu metodą nieskuteczną. Prelegent poparł tezę swoją szeregiem interesujących przykładów oporu ludności ukraińskiej przeciw naciskom biurokracji moskiewskiej i jej rusyfikatorskiej akcji. W sumie opinii ten jest wykładnikiem niezłomnej substancji narodowej, której rosnąca żywotność uprawnia do patrzenia w przyszłość Ukrainy z realistycznym optymizmem.

W dyskusji nad odczytem, wygłoszonym doskonałą polszczyzną, zabierali głos mowcy polscy i ukraińscy, m. in. dr S. Bieganski, dr T. Komarnicki, dr S. Mękarski, prof. S. Świaniewicz, prof. W. Wielhorski. Wszystkim mówcom obszerne odpowiadał prelegent. Wrażenie wywołało przemówienie młodego Ukrainca, studenta uniwersytetu londyńskiego, Konstantego Zeleńki, który wskazując na współczesne próby komunistycznych kontaktów polsko-ukraińskich, podejmowanych w imię interesów Moskwy — nawiązywał do współpracy polsko-ukraińskiej na emigracji w wolnym świecie.

Przewodniczącym zebrania gen. W. Wiatr dziękował za przybycie na zebranie gościom Ukraincom i podkreślał znaczenie kontaktów polsko-ukraińskich na emigracji. Zarówno mowcy polscy jak ukraińscy wysuwali sugestie utworzenia w Londynie towarzystwa polsko-ukraińskiego.

nak zdarzył się wypadek, by ktoś bronił się przed zarzutami stwierdzając, że przecież nie mówił prawdy, lecz właśnie kłamał. Komentarz właściwie zbytczesny. Przeczytajmy raczej list towarzysza Arskiego w „Nowej Kulturze” z 27. 11. br.

Odpowiadając na zarzut Bolesława Wiewióry Arski mówi dosłownie:

„Pisze Wiewióra, że „dotychczasowe opracowania zawierają o niej, tj. o działalności emigracji w sprawie granicy (nad Odrą i Nysą) tendencyjne i jednostronne informacje” i jako przykład cytuję broszurę niżej podpisanego „Targowica leży nad Atlantykami”. Zachodzi tu oczywiście pomieszczenie pojęć. „Targowica”, oparta zresztą niemal wyłącznie na wypowiedziach prasy emigracyjnej, była typowym pamfletem politycznym. Słownik wyrazów obcych (PIW, 1957) określa pamflet, jako „utwór ośmieszający w ostry, demaskującej formie jakąś osobistość lub przejaw życia społecznego albo politycznego”. Żądać od pamfletu obiektywizmu i bezstronności, to po prostu absurd.

Wskazówka przedświąteczna

Nie nowina, że zakup prezentów świątecznych nie tylko oszczędza kasę, zjada oszczędności i w ogóle wywiera budżet, lecz także naraża ofiarodawcę na kompromitację. Odbiorca lub odbiorczyni prezentu pod uśmiechem wdzięczności z najwyższym trudem ukrywa uczucie rozczarowania. Znowu to samo?! Albo: co mi po tym? Albo: co za brak gustu! Albo (w najlepszym razie): przyda się jako prezent na imieniny ciotki Eulalii.

W najgorszym położeniu są, rzecz jasna, mężowie. Jak wiadomo ich inteligencja stoi zawsze pod znakiem zapytania. Przy okazji prezentów świątecznych fakt ten ujawnia się w całej nagości. Istnieją jednak także t. zw. mężowie doskonali, mężowie-wzory: tacy, których mają przyjaciółki. Mąż doskonały w wyborze prezentów kieruje się tylko jedną, podstawową zasadą: należy darować żonie nie to, na co ma ochotę, lecz to co ma ochotę zamienić na coś innego.

Churchilliana

W odpowiedzi sekretarzowi, który zastanawiał się, czy pewien liberal przystępuje do konserwatystów z przekonania, czy też „jak szczer, który opuszcza tonący statek”: „Każdy szczer opuszcza tonący statek z przekonaniem”.

Przysłowiowe są błędy, które Churchill popelnia, mówiąc po francusku. Kiedyś starał się wytłumaczyć Francuzom zaszczyt jaki go spotkał, gdy został „starszym” starożytnej instytucji angielskiej t. zw. Trinity House. Po angielsku tytuł ten brzmi „The elder Brother of the Trinity House”. „Je suis le frère aîné de la Trinity” — oświadczył spokojnie Winston. Wywołało to zrozumiałą konsternację, gdyż w przekładzie polskim francuskie zdanie Churchilla wyglądało tak: „Jestem starszym bratem Trójcy św.”.

„Rosjanie wyszukują sytuację, gdyż wiedzą, że mają do czynienia z gentlemanami. Gdybym ja wrócił do władzy, straciłby pewność siebie”.

Ptaki bezgniezdne

Po kampanii zwalczania much, podobno doskonałym uwieńczonej skutkiem, Chińczycy zabrali się do zwalczania wróbla. Sposób jest okrutny. Całe armie karnych wychowanków Mao Tse biją w kory i machają szmatami przez dwadzieścia cztery godziny, nie pozwalając wróblom ani na ułamek sekundy uisnąć na ziemi lub na drzewie. Przerazone ptaki umierają ze zmęczenia i ze strachu. Sposób także tani, nie wymaga bowiem niczego poza ciepłością ludzi. Na tym Chińczykom jak wiadomo nie zbywa.

W starych (europejskich) czytankach szkolnych pisano o pewnym królu — chodziło o Fryderyka II pruskiego, którego także „Wielkim” się nazywa — że wytepił wrony, by nie zjadały owoców. Niestety zapomniał, że wrony zjadały robactwo. Gdy wron zabrakło robactwo zjadało ziarna siewne. A więc też było nie dobrze. Wróble podobno żadnej pozytywnej funkcji (z punktu widzenia ludzkiego) nie spełniają. Może więc ich wyniszczenie wyjdzie na dobre Chińczykom.

„O, bracie wróblu! — zawołałby jednak z bólem św. Franciszek z Asyżu. Niekiedy okrzyk taki więcej dobrego daje ludzkości, niż zaoszczędzone ziarno.

Święto wiary, nadziei i miłości

Po Świętach i po Nowym Roku tak jakby ziemia odetchnęła. Ledwo się zima zaczęła a już się ma ku wiosnie. A z nią ku nadziei. Więcej w tym ludzkiej myśli niż przyrody, więcej symbolu niż rzeczywistości. Symbole jednak tworzą rzeczywistość, tak samo jak wiara.

Zjemy wśród materii, lecz tylko dzięki wierze żyć możemy. Gdy nie chcemy wiary, stajemy się tylko materią. Materia zaś nie zna miłości. Dlatego też jest marwa.

Boże Narodzenie, dla chrześcijan święto miłości, przez radość daje światu wiare. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest ona dzisiaj.

Radosnych Świąt i pełnego nadziei Nowego Roku życzy

J. P. H.

Trudno — jedziemy na jego spotkanie. Przynajmniej już nie mokniemy, chociaż i tak przemokliśmy porządnie. Wtem widzimy z daleka niemieckiego żołnierza. Zatrzymuje on naszych w ubraniach wojskowych i kieruje do pobliskiego budynku. Nas zatrzymuje również. Pyta, dokąd i czy mamy dokumenty. Ponieważ rtm. Rybicki nie miał żadnego dowodu, ustaliliśmy, że nie będzie nic mówił, jako że nie zna języka, a tylko ja mam odpowiadać. Oświadczyłem, że jesteśmy uciekinierami z Lublina i dokumenty mamy w porządku. Popatrzył chwilę, porozmawiał jeszcze i pozwolił jechać dalej.

Najlepszą legitymacją była zdaje się ta lubelska dorozka — powiadamy sobie. Następnie już ominęliśmy dalsze posterunki i dorozkarz dowiół nas tam, gdzie chcieliśmy.

JESTEŚMY w Lublinie. Jest 3 października. Rtm. Rybicki tego dnia jeszcze spotyka swą żonę. Jestem świadkiem wruszającej sceny.

W Lublinie znać ślady wojny. Katedra poważnie uszkodzona. Hotel „Victoria” zburzony doszczętnie. Szereg domów na Krakowskim Przedmieściu ucierpiał poważnie. Gmach D. O. K. częściowo zniszczony. Obok gmachu duże leje od pocisków.

Nastroj ponury i przygniaty. Spotykamy dużo znajomych na ulicach, szczególnie w kawiarni na Krakowskim. Rozmowy oczywiście obracają się wokół wytworzonej sytuacji i najbliższej przyszłości. Nas przede wszystkim interesowało, jak dostać się do Warszawy. Nie ma wątpliwości, że są tam Niemcy, lecz jakoby na mocy układu, prawa strona Wisły, a więc i Praga, mają być w tych dniach odstąpione bolszewikom. Właśnie do Lublina zjechała delegacja bolszewicka. Trudno było dowiedzieć się, co postanowili Niemcy z bolszewikami, jeszcze tak niedawno najzaciętsi wrogowie, a obecnie — sprzymierzeńcy.

Zdecydowaliśmy zatrzymać się kilka dni w Lublinie. Ulokowaliśmy się w pensjonacie. Z jedzeniem było nieszczególnie. Zaraz na początku dostałem w małej kawiarence obiad dzięki temu, że warszawski kelner z Bristolu poznał mnie. Tam już stołowaliśmy się stale. Częściowo uzupełnialiśmy braki naszej garderoby, aby jakoś po ludzku wyglądać.

Doszło do naszej wiadomości, że Niemcy wydają przepustki, lecz nie do Warszawy, a tylko na Pragę. W tym celu na zmianę staliśmy cały dzień w ogonku. Na co najmniej tysiąc osób oczekujących wydali tylko 80 przepustek i oświadczyli, że dla reszty wydawanie wstrzymują, nie podając przy tym terminu wznowienia.

Następnego dnia ukazały się obwieszczenia o obowiązku rejestracji wszystkich oficerów pod karą śmierci. Był to pierwszy znak, że Lublin trzeba opuścić. O podróży kolejną nie mogło być mowy. Pociąg szedł wprawdzie do Puław, ale tam odbywała się kwarantanna. Kupiliśmy więc konia z wózkami i w 6 osób ruszyliśmy, ażeby dostać się jak najbliżej Warszawy. Przepustek żadnych nie mamy. Doszliśmy do wniosku, że można czekać na nie długo i bezskutecznie. Przecież jakoś tam sobie będziemy radzić. Po drodze mam wszędzie znajomych, którzy na pewno wiele rzeczy ułatwią. Tak też i było.

Podróż w 6 osób, spotkań przygodnie w Lublinie, była dość niemiłe urozmaicona. Spotykaliśmy często niemieckie posterunki; spotykaliśmy masę osób, wędrujących w różne stro-

ZYGMUNT NADRATOWSKI

URYWKI z PAMIĘTNIKA WOJENNEGO

wrzesień - grudzień 1939

ny. Po drodze nieustannie groby, porozciągane trupy koni, niezliczone ilości rozbitych samochodów; zniszczone doszczętnie, spalone wsie i miasteczka, jak np. Kurów, Garwolin.

Wszystko to były skutki rozbicia armii oraz całkowitego zdruzgotania życia państwowego Polski. Zasadniczo armia nie była pobita, lecz została rozbita. Kiedy zdawało się pozornie, że już koniec, tu i owdzie polskie oddziały walczyły jeszcze i to z powodzeniem, np. 6 października grupa generała Kleberga pod Kockiem broniła się zawzięcie do czasu, aż zabrakło jej amunicji. Wiele mniejszych oddziałów działało dalej i sprawiło Niemcom oraz bolszewikom, wiele niespodzianek.

Po drodze zdobywamy szereg wiadomości. Podobno do Warszawy można już jechać bez przepustek. Bolszewicy mają cofnąć się aż za Bug. Dowiadujemy się też wielu szczegółów o zniszczeniu i obronie Warszawy. Sądziłyśmy, że będzie przeczynię wjeżdżać do Warszawy boczną szosą. Ostatnią noc spędziłyśmy w Otwocku. Tu Niemców jakoś nie było, aż dziwiłyśmy się temu.

Poruszając się w skupieniu szosą otwocką przede wszystkim ujrzałszy kościół Zbawiciela z jedną straconą wieżą. Zaciekawienie i emocja wstają. Wysyłamy wzrok coraz więcej. Każdy, choć nic nie mówi, w milczeniu zadaje sobie pytanie: Jak też wygląda Warszawa? Długi czas nie możemy dostrzec nic szczególnego.

Wreszcie na przedmieściach Pragi od strony Miedzeszyna dzielnica Saskiej Kępy bardzo zniszczona. Zostały tylko zgliszczą, częściowo mury i jakieś pojedyncze domy. Nawet te domy, które nie leżą w gruzach, szyb nie mają. Budynek nadbrzeżnych klubów sportowych, jak np. Yacht-Klub całkowicie spalony.

Jeden z towarzyszy podróży, Damazy Prochowski, zobaczył ruiny domu, w którym przedtem mieszkał. Zatrzymaliśmy się. Z całego domu tylko boczne wejście i dwie szczytowe ściany zostały. Próbował wejść do swego mieszkania, lecz powrócił zasmucony. Mieszkanie nie istniało. Jedzie z nami dalej szukać schronienia u rodziny. Chyba nie wszystkie domy leżą w gruzach — powiedział. Wyjeżdżamy na skrzyżowanie ulic przed mostem Poniatowskiego. Stoi niemiecki wartownik. Nawet nas o nic nie zapytał.

Dojechalśmy więc bez żadnych przepustek. Okazało się, że nie należało wierzyć tym wszystkim plotkom, które rozsiewano w drodze. Gdybyśmy im ulegli, to nie wiadomo kiedy, a może nawet w ogóle nie dobrnęlibyśmy do Warszawy.

Nareszcie jestem w Warszawie, w dniu 13 października o godzinie 13-tej.

(5) Początkowo zamierzaliśmy z naszym oddziałem partyzanckim w mundurach i konno dotrzeć tutaj. Pragnęliśmy wziąć jeszcze udział w obronie Warszawy.

Stolica dosłownie leży w gruzach. Panoszą się w niej Niemcy. Nasze intencje pozostały tylko w sferze marzeń i wyobraźni.

Pierwsze wrażenie, jakie na nas zrobiła Warszawa, było niesamowite. To nie stolica państwa 35-milionowego, ale jakieś wschodnie miasto. Tłumy pieszych. Twarze ponure i smutne. Wszyscy nędznie ubrani. Komunikacji żadnej. Małe konne wózki. Gruzami zasłane jezdnie i chodniki tworzą piętrowe nasypy. Na ulicy Świętokrzyskiej od Nowego Świata do Mazowieckiej żaden dom nie ocalał. Zapach spalenizny i dymu odczuwa się dotkliwie. Ruiny i zgliszczą wskazują, że Niemcy musieli tu działać bezlitośnie i brutalnie.

Najbardziej przykry jest widok, jak to Niemcy poczynają sobie w Warszawie. To jest dopiero cios moralny, cios upokorzenia.

Tego samego dnia rozpoczęłam poszukiwania rodziny. Nikogo nie zastałam; albo wyjechali, albo mieszkania zrujnowane. Dłuższy czas wałęsałam się po ulicach, nie mogąc sobie uprzytomnić, że to co widzę i czytam z twarzy przechodniów jest naprawdę rzeczywistością.

Tę tragedię odczuwali głęboko wszyscy, z którymi rozmawiałam, a spotykałam dość dużo znajomych. Powszechnym przywitaniem, nawet ze znajomymi tylko z widzenia, była wzajemna wymiana wyrazów: „Żyje pan — to szczęśliwie”.

Tych słów zamiast „dzień dobry”, używało się przez pewien czas w Warszawie. Towarzyszyło temu skinienie głową. Przeważnie bez zatrzymania szło się dalej. I to wystarczało, bo wszyscy przeżywali tę samą gorzkość i żal...

★

W takiej atmosferze wiodę swój przygaszony żywot w Warszawie. Dochodzą mnie najprzeróżniejsze wiadomości. Na podstawie licznych opowiadań pogląd mój na obronę stolicy skryształizował się w ten sposób:

Warszawa nie chciała się w ogóle poddać. Wojska niemieckie miały rozkaz zajęcia jej możliwie jak najszybciej. Kilkakrotnie usiłowania ich wejścia spotykały się z zaciętym oporem i odrzuceniem w tył, przy zadaniu poważnych strat. Gdy na ponowną propozycję poddania się otrzymali odpowiedź odmowną, przystąpili do burzenia miasta.

Dnia 26 września było ciężkie bombardowanie. Następnego dnia od świtu to samo. Po czym w południe nastąpiła złowroga cisza. Konsternacja z tego powodu olbrzymia i zarazem uczucie pewnej, z czysto ludzkich względów zrozumiałej, ulgi. Wszyscy powtarzali — „Nareszcie Niemców odpędzili”. Ten głos świadczy najdosadniej, jak dzielna i wspaniała była postawa wojska i ludności Warszawy. Tak w dalszym ciągu wierzone i z uporem twierdzone, że Warszawa nigdy się nie podda. Jednostki tylko nieśmiało zapytywały: „A może to już po wszystkim?”

Tak jednak było rzeczywiście. Pod wpływem groźby zastosowania przez wroga nieludzkich środków — stolica złożyła broń.

Łatwo się domyśleć do jakiego stanu Niemcy doprowadzili Warszawę. Gdy sami ujrza swe dzieło, wycofali się, polecając władzom miejskim i pozostałej przy życiu ludności usunąć zabitych i rannych z tym, że wkroczyć dopiero po kilku dniach, tj. 2 października. Dziwili się tylko, że jeszcze tylu żywych zostało w mieście.

Ponury i przygniaty nastrój — to zasadnicza cecha Warszawy. Na murach ukazują się coraz to nowe obwieszczenia w języku polskim i niemieckim z ostrymi sankcjami karnymi. Stale widnieje lista 12-tu zakładników ze Zdzisławem ks. Lubomirskim i Mieczysławem Niedziałkowskim na czele.

Ludzie spotykają się na ulicach i w rosniących, jak grzyby po deszczu kawiarniach. Jako pierwsze uruchomiono kawiarnie: Bodo, Cafe Club, Lourse, Europejska.

W „Europejskiej” przeprowadziłem nawet rozmowę z dwoma oficerami niemieckimi. Siedziałem sam przy dobrze znanym mi stoliku pod filarem. Zjadłem zupę i wypilem czarną kawę. Początkowo tylko to można było dostać. Przy placeniu rachunku przysiedli się oni do mnie, przysłuchując się mej rozmowie z kelnerem. Gdy odszedł on, jeden z oficerów niemieckich zwraca się do mnie łamaną polszczyzną:

— Pewnie kelner chciał pana oszukać?!

— Właśnie wręcz przeciwnie, siebie chciał oszukać — odpowiedziałem.

(C.d.n.)



MASZYNY DO PISANIA

Z POLSKIMI CZCIONKAMI

MASZYNY DO LICZENIA I POWIELANIA, MAGNETOFONY (taśmowe nagrywacze), MEBLE BIUROWE, KASY REJESTRUJĄCE itp.

poleca na bardzo dogodnie spłaty i na WYSYŁKĘ DO POLSKI

T. KONDYCKI

9, PELHAM ST. (budynek kolejki South Kensington), LONDON, S.W. 7, Tel. KEN 6232.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WSZYSTKIM KLIENTOM I ZNAJOMYM

SKŁADAJĄ

ANDREWS DELICACIES LTD.

Schofield Street, Royton, Lances.

i A. J. ROBIŃSKI

41, Harington Street, London, S. W. 7.

KRONIKA WOJSKOWA

STANY ZJEDNOCZONE A.P. Dn. 28 listopada po raz pierwszy dokonano udanego wystrzelenia balistycznego pocisku międzykontynentalnego „Atlas” na pełną donośność 6.325 mil. Pocisk spadł o zaledwie 30 mil od celu. Od pierwszego wystrzelenia „Atlasa” na odległość 500 mil jeszcze nawet rok nie upłynął. W tym okresie dokonano 13 dalszych prób, częściowo nieudanych i nie przekraczających dystansu 3.000 mil. Wobec stwierdzenia praktycznie zbyt dużego rozrzutu przeprowadzone zostaną dalsze próby. Tym bardziej, że nie udało się pocisku z morza wydobyć i tym samym sprawdzić odporność jego głowicy na opór powietrza podczas fantastycznie szybkiego opadania. Pełnym sukcesem zakończyła się za to próba zerzelenia przez kierowaną raketą „Hercules”, która może mieć głowicę atomową, bezpilotowego samolotu „XC-5”, lecącego z szybkością 1.500 mil na wysokości ponad 12 mil. Jak się zdaje, udane były również pierwsze wystrzelenia dywersyjnych raket „Goose” i „Quail”, mających odciągać uwagę przeciwnika od właściwych celów powietrznych.

Za to tylko połowicznym sukcesem zakończyło się wystrzelenie przez wojsko pięciostopniowej rakiety księżycowej „Juno” oraz bliżej nie określonej rakiety, zawierającej trzy żywe myszy. Wskutek przedwczesnego wypalenia się napełni 1. stopnia „Juno” osiągnęła „tylko” wysokość 66.54 mil, nie zdoławszy osiągnąć szybkości dostatecznej do wywołania się z siły przyciągającej ziemi. Przypominam, że analogiczna rakietka „Pioneer”, wystrzelona przez lotnictwo 11 października, wzbijała się nieco wyżej, bo na 71.300 mil. Najprawdopodobniej w pierwszych dniach lutego wojsko przeprowadzi drugą próbę dostarczenia w pobliże księżycy lub nawet w orbitę słońca. Eksperyment z myszami dostarczył wprawdzie dużo cennych in-

formacji, nie udało się jednak w pełni o tyle, że wpady one wraz ze spadochronikiem do morza i przepadły. Choć decydujące czynniki postanowiły przetrwać główny wysiłek z dziesięciu rakiet średniostansowych na międzykontynentalne, jak „Atlas”, „Titan” i „Minuteman”, wojsko będzie mogło realizować swój program w dziedzinie średniostansowych i eksperymentalnych pocisków balistycznych i tym samym zachować swoją złąną ekipę specjalistów niemieckich z dr. Braunem na czele. O rozmarzu, z jakim Pentagon forsuje postęp w dziedzinie pocisków międzykontynentalnych, świadczy m.in., że założył już dla nich szesć baz na obszarze Ameryki, że popiera studia nad atomowym napędem dla tych pocisków i że przygotowuje satelitę o wadze 11 centnarów oraz pierwsze wystrzelenie rakiety „Titan” już w najbliższych miesiącach.

Doświadczenia raketowe z żywą małpką „Gordo” omówimy osobno.

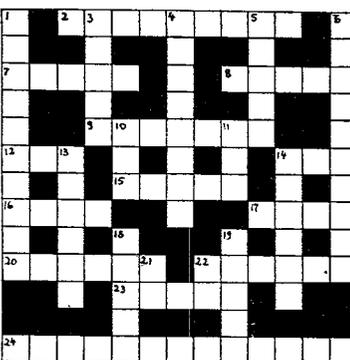
Wobec rozpoczęcia w dniu 31 października rokowań genewskich, mających doprowadzić do zakazu dalszych doświadczeń atomowych i wodorowych, nie przeprowadzono ostatnio żadnych wybuchów, ani na Pacyfiku, ani na poligonie w Newadzie. Podług informacji wojskowej prasy szwajcarskiej, wrześniowe doświadczenia w Newadzie wykazały możliwość wyposażania w głowice atomowe nie tylko różnych typów raket, ale także pocisków artyleryjskich kalibru 203 i 175 mm, min moździerzowych kalibru 160 mm oraz rusznicowych pocisków przeciwpancernych. Jeżeli idzie o napęd atomowy, to Ameryka posiada już w służbie 5 atomowych okrętów podwodnych, „Nautilus”, „Seawolf”, „Skate”, „Swordfish” i „Sargo”, zaś w przyszłym roku wykończy 4 dodatkowe, mianowicie „Seadragon”, „Halibut”, „Skip-

jock” i olbrzymi „Triton”. W roku 1960 ma dojść dalszych 6 atomowych okrętów podwodnych oraz krążownik „Long Beach”, a w 1961 roku lotniskowiec atomowy „Enterprise” oraz 7 atomowych okrętów podwodnych, w tym 3 wyposażone w dalekonośne rakiety „Polaris”. Niezależnie od tego buduje się konwencjonalne okręty podwodne, wyposażone przeważnie w rakiety „Regulus”.

Z dziedziny lotnictwa pilotowanego zasługują na wzmiankę następujące nowości: Nowa wersja superbombowców B-32 G osiąga szybkość ponad 650 mil i będzie uzbrojona w kierowane pociski atomowe, „Hound Dog” i „Gam 77”. Najnowszy, ponadźwiękowy bombowiec B-70, nazywany „Valkyrie”, będzie zupełnie niezależny od pogody. Znałe cysterny powierzchni „KC-135”, zdolne do szybkości 600 mil na godzinę, buduje się

obecnie w wersji transportowców, zdolnych do zabrania 25 ton cargo. Zamówiono podobno 345 sztuk. Dodac tu warto, że samolot tego typu ustanowił rekord długości lotu bez dopiekania paliwa, przelatując 10.228 mil. Za to zrzegrowano, wskutek licznych wypadków, z masowej produkcji transportowych wodnopłatów „Seamaster”, których wyprodukowano tylko 14 sztuk. Lotnictwo morskie otrzyma natomiast najprawdopodobniej zarówno świetne myśliwce „Crusader”, jak i niegorsze „F-4-A” oraz wolny „A-2-F-1” nazywany „Missiler” i przeznaczony do zwalczania okrętów podwodnych, specjalnymi raketami torpedami. Niezależnie od tego dwie wytwórnie pracują nad nowymi typami morskich myśliwców bombowych. Morski myśliwiec „Skyray” poprawił ostatni rekord szybkości wzbijania się, należący do francuskiego „Trident”. Wzbił się na 49.113 stóp w ciągu zaledwie 2 minut i 36 sekund.

KRZYŻÓWKA Nr 302/58



Znaczenie wyrazów.

Poziome: 2) chciał doprowadzić do ugody między Stefanem Batorem a Iwanem Groźnym; 7) sławny wyganiec florencki; 8) miasto na Wileńszczyźnie; 9) istniała w starożytności na terytorium obecnego Libanu; 12) posiadani; 14) związany ze szpadą u Żeromskiego; 15) i od tej chwili... 16) miejsce postoju; 17) fetysz; 20) rodzaj psa (wspak); 22) broń biała; 23) miejsce na spacer wzdłuż domu; 24) cecha charakteru, często spotykana u Polaków.

Pionowe: 1) „Miał mundur województwa: żupan złotem sztyt, kontusz gredytury z frędzlą i pas lity, przy którym karabela z głównią jaszczurową, na szyji świecił wielką szpilką brylantową, konfederatka biała...”; 3) bogate okrycie (wspak); 4) nieszczęśliwa żona Zygmunta Augusta; 5) przepis; 6) wielkorządca Syrii; 10) ja; 11) truciźna; 13) ze Wschodu przybyli do Judei; 14) uosobienie zła; 18) to co się wybija na pierwszy plan; 19) kij; 21) i 22) nieuważny.

Najlepsze i najszerzej znane życzenia

Świąteczne i Noworoczne

składa Klientom, Przyjaciołom i Znajomym

MGR. M. B. GRABOWSKI

175, Draycott Avenue, London, S.W.3

wraz z współpracownikami

RADA ATLANTYCKA I SOWIETY

CZŁONKOWIE Sojuszu Atlantyckiego ustalili dzień 15 grudnia jako datę dorocznych zjazdów ministrów spraw zagranicznych w ramach Rady Atlantyckiej. Dla obozu zachodniego jest to sposobność do manifestowania jedności właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. Rosja Sowiecka zaś wysiła się w tym okresie na sianie zamętu i strachu w szeregach zachodnich. W roku bieżącym te tradycje już zyczenia świąteczne dla Zachodu są szczególnie bogate w pogroźki i złowroźne zapowiedzi.

Londyński „Times” pisał, że smutną jest rzeczą, iż poza kwestią Berlina prawie wszystkie inne kłopoty, którymi ma zajmować się Rada Atlantycka, są wytworem zachodnim. „Times” wymienia trzy spory wewnątrz Sojuszu Atlantyckiego: kwestię rybołówstwa dookoła brzegów Islandii, Cypr i, najważniejszy ze wszystkich sporów — zagadnienie wejścia w życie z dniem 1 stycznia 1959 roku Traktatu Rzymskiego o związku celnym sześciu państw Europy kontynentalnej.

W wymienionych przez dziennik londyński trzech zagadnieniach występują jako uczestnicy sporu trzy, po jednej stronie, za każdym razem inne państwa, należące do Paktu Atlantyckiego — Islandia, Grecja i Francja. I we wszystkich trzech wypadkach drugą stroną w sporze jest W. Brytania. Z powyższego wynikałoby, że W. Brytania ma najwięcej sprzecznych interesów z pozostałymi europejskimi członkami Sojuszu Atlantyckiego. Wniosek powyższy nie jest potępieniem. Jest tylko stwierdzeniem faktu, wcale zresztą nie nowego w dziejach Europy.

Istotą sprawy jest, w jakim stopniu i w jak przekonującej formie Zachód potrafi zdemontować jedność i stanowczość w obliczu ostatnich posunięć politycznych Rosji Sowieckiej. Stało się tak w wypadku Berlina, gdyż wszyscy ministrowie spraw zagranicznych państw Sojuszu Atlantyckiego zgodnie uznali propozycje sowieckie za niemożliwe do przyjęcia. Decydujący głos mają jednak tylko cztery mocarstwa zachodnie: Stany Zjednoczone, W. Brytania, Francja i Niemiecka Republika Związkowa. Niemcy Zachodnie bowiem zdobyły już sobie pełny status mocarstwowy nie tylko w obozie zachodnim, ale także w oczach Moskwy. Może właśnie dlatego Chruszczow zawiązał się, by wywalczyć jakiś status w oczach Zachodu dla Niemiec Wschodnich, które dla Zachodu nie mają nawet pełnego statusu satelickiego, nie mówiąc już o państwowym.

Podczas osmiogodzinnej rozmowy z senatorem Humphreys'em Chruszczow dał do zrozumienia, że życzyby sobie wysunięcia przez Zachód jakichś kontrpropozycji w sprawie Berlina. Adenauer tego sobie nie życzy. De Gaulle go poparł. W. Brytania uważa, że warto wysunąć kontrpropozycje dotyczące jednak całej sprawy niemieckiej, a więc zjednoczenia Niemiec. Moskwa powtarza, że o zjednoczeniu mogą mówić tylko Niemcy z Niemcami, i że jest gotowa rozmawiać jedynie na temat zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami.

Jest to ze strony Rosji postawienie sprawy pod kątem widzenia taktyki. Bezpośrednio po wojnie zwycięskie mocarstwa mogły podyktować Niemcom traktat pokojowy. Obecnie takiej sytuacji już nie ma. Rosja wolała wcielić Niemcy Wschodnie do swego imperium, niż zawrzeć traktat pokojowy, na którego mocy Niemcy straciłyby ziemie za Odrą i Nysą i zostałyby zneutralizowane, byłyby jednak dziś zjednoczone.

Rosja wcieliła Niemcy Wschodnie do swego imperium, ale Niemcy Zachodnie mające trzy razy więcej ludności i nieporównanie większy potencjał przemysłowy, stały się siłą gospodarczą i wojskową w ramach obozu Zachodniego. Bilans więc polityki Kremla w sprawie Niemiec wypadł dla Rosji ujemnie. Chruszczow chciałby zniszczyć zyski Zachodu, a zachować

korzyści Rosji. Taka jest istota jego propozycji i żądań.

Adenauer nie wierzy, by Rosja zgodziła się na zjednoczenie Niemiec. Nie widzi więc żadnych korzyści w jakichkolwiek rokowaniach z Rosją.

W. Brytania proponuje wysunięcie kontrpropozycji w odpowiedzi na żądania Rosji z dwóch przyczyn: wewnętrznej i zewnętrznej. Opinia brytyjska lubi, gdy rząd nie zajmuje ostrego stanowiska i nie zamyka drzwi do rozmów. Gdy zaś chodzi o powody zewnętrzne, to W. Brytania chce wyrzucić nacisk na Niemcy Zachodnie, by osłabił, jeśli nie całkiem rozerwał, solidarność Niemiec Zachodnich i Francji w sprawie Wspólnego Rynku. Znów nie nowego. Handel brytyjski jest brytyjską polityką. Jeden z ministrów brytyjskich posunął się nawet do wyrażenia opinii, że jeżeli nie ustanie spór W. Brytanii z Francją o stworzenie europejskiego obszaru wolnego handlu, W. Brytania może wycofać swe wojska z kontynentu.

W doniesieniach prasy brytyjskiej spór z Francją o sprawy handlowe wysunął się w ostatnich dniach na pierwsze miejsce, przed sporem Zachodu z Rosją o Berlin. „Times” oskarżył Francję o osłabianie sojuszu Atlantyckiego żadaniami uzyskania głosu w kształtowaniu strategii zachodniej obok Ameryki i W. Brytanii. Dalej o odmowę podporządkowania swego lotnictwa dowództwu sił sojuszu Atlantyckiego (W. Brytania też nie wyraziła dotychczas zgody na integrację jej lotnictwa), wreszcie o sabotaż planu wyposażenia Europy w bazy amerykańskich pocisków kierowanych o średnim zasięgu. Francja bowiem żąda, by bazy te wraz z głowicami atomowymi na jej terenie były pod jej a nie pod amerykańską kontrolą.

Można ulec złudzeniu, że wróciły dawne czasy, gdy walka o wpływy w Europie i panowanie nad krajami zamorskimi odbywała się głównie między W. Brytanią i Francją. Ale jest to tylko złudzenie. Ani W. Brytania ani Francja nie są dziś decydującymi czynnikami w polityce światowej. Na arenie międzynarodowej dominuje konflikt interesów między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. W porównaniu z globalnym zasięgiem tej rywalizacji i grozą, jaka spadłaby na cały świat w wypadku przeskroczenia się konfliktu politycznego w wojnę, spór brytyjsko-francuski o zagadnienia handlowe wygląda jak strzelanie z wiatrówek.

Amerika, jako przywódca obozu zachodniego jest z natury arbitrem w jego sporach wewnętrznych, chociaż nie zawsze jest zdolna rolę tę spełnić. Amerykanie przyglądają się z sympatią Wspólnemu Rynkowi, który jest wyrazem idei utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy. Oficjalne czynniki amerykańskie wstrzymują się dotychczas od zabierania głosu w sporze francusko-brytyjskim.

W oficjalnych wypowiedziach kierownictwa polityki amerykańskiej zajmują się prawie wyłącznie sprawą Berlina oraz zamiarami sowieckimi, czającymi się za tą sprawą. Bo jasną jest rzeczą, że wysunięcie przez Chruszczowa kwestii Berlina jest tylko wstępem do rozwinięcia szerszych planów, gdy tylko istniejące w Europie status quo zostanie naruszone na korzyść Rosji.

Amerykianie niezbyt przejmują się głosami krytyków europejskich, gdy zarzucają Ameryce, że zajmuje w stosunku do propozycji sowieckich stanowisko wyłącznie negatywne. Logiczne jest przeczyć, że gdy człowieka chcą okraść, obrabować, lub zabić, ustosunkowuje się on do tych projektów negatywnie. Plan Rapackiego jest dla Amerykanów podejrzany, bo popiera go Rosja. Plan Gaitskella jest w oczach amerykańskich koncepcją myślową ludzi, przekonanych o własnej słabości. A Stany Zjednoczone czują się silne.

Amerykianie też zastanawiają się i myślą. Brytyjski dziennikarz, Patrick O'Donovan, pisze, że wszystkie ponowne amerykańskie przemyslenia

doprowadzają do starych wniosków. Dlaczego to ma sprawiać kłopoty? — spytajmy. Polityka nie jest przecież w niczym podobna do produkcji kobiecych strojów, lub samochodów, gdzie ciągle trzeba wymyślać nowe modele. Problem zagrożenia Zachodu przez oboz sowiecko-komunistyczny pozostaje ten sam i odpowiedź na dążenia tego obozu do panowania nad światem musi być ciągle ta sama: nie dam, nie zgodzę się i nie pozwolę.

S. Klinga

Osoba Boga Wcielonego

(Dokończenie ze str. 1)

tylko ten, kto „e z y n i” prawdę, przychodzi do światłości: qui facit veritatem. Jest w tych słowach zasadniczy rozbrat z sokratyzmem i klasycznie greckim intelektualizmem etycznym — iż w i e d z i e ć co jest dobro i prawda, znaczy być dobrym i żyć prawdą. A więc chrześcijanin ma przede wszystkim czynić prawdę poznaną, nie kontentując się samym pozaniem. Bo choć człowiekiem jest się przez rozum, to jednak dobrym albo złym, zbawionym lub potępionym, jest się przez wolę.

A jednak nie to stanowi o istotnej różnicy chrześcijaństwa w stosunku do każdego innego układu i systemu wartości, że jest ono „z istoty swej życiem”. Jest to faktem niewątpliwym, wszakże jest to skutek dopiero, a nie przyczyna, różnicy rzeczywistości absolutnej i nieskończonej.

Co zaś jest tą różnicą, mówi nam piękny tekst św. Augustyna w „Wyznaniach”. Otóż i ten zachodni Ojciec Kościoła przeżył był do głębi przecuciami wielu tajemnic chrześcijaństwa przez myślicieli pogańskich, zwłaszcza platoników. Wszakże wyliczając je, wskazuje zarazem i to, czego najbardziej genialna intuicja nie mogła przeczuć, najsubtelniejszy umysł wydedukować.

Pisze więc:

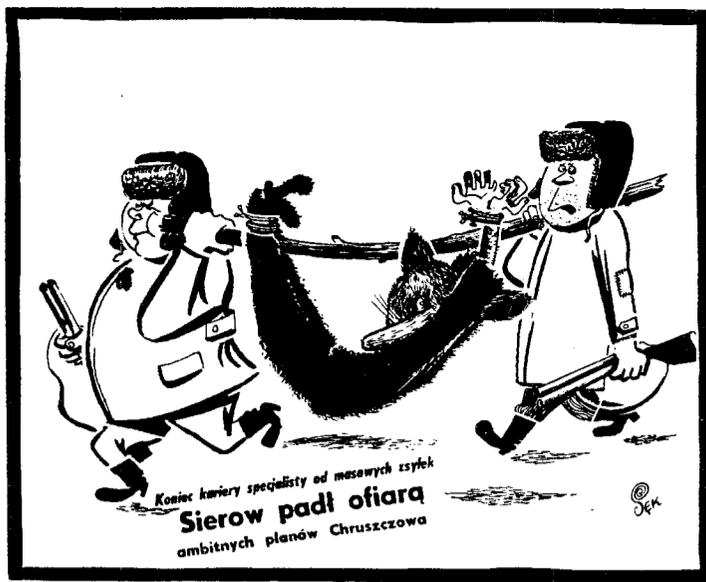
W pismach platoników „wyczytałem, wprawdzie nie tymi słowy, ale to samo, że na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. To było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało, a beżeń się nic nie stało. W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi, a światłość w ciemnościach świeci, a ciemność jej nie ogarnęła; i że dusza człowieka, chociaż daje świadectwo o światłości, nie jest sama światłością, lecz Słowo. Bóg sam, jest światłością prawdziwą, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego; i że na świecie był i świat jest uczynion przez ten świat go nie poznał”. Nie wyczytałem zaś tam słów że „przyszł do swej własności a swoi go nie przyjęli; a którzy przyjęli go, tym dał moc, aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w imię jego”.

Również wyczytałem tam, że Słowo-Bóg, nie z ciała, nie z krwi ani z woli męża ale z Boga się narodziło; lecz nie wyczytałem, że „Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”.

I oto jest ta zasadnicza, ta istotna, absolutna i nieskończona różnica pomiędzy chrześcijaństwem a wszystkimi innymi walmorami i religiami: iż chrześcijanin może przybrać obyczaje Boże, albowiem Bóg przybrał obyczaje człowieka! Stał się jednym z nas, aby każdy człowiek mógł stać się w Nim, z Nim i przez Nięgo synem Boga, mieć udział w wewnętrznym życiu Bożym. Sam Chrystus Pan wskazał nam na tę różnicę, o której tu mówimy, kiedy powiedział w rozmowie z Nikodemem: „Bóg tak umiłował świat, że Syna Swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał życie wieczne”. Osoba Jezusa Chrystusa, Boga wcielonego, Boga Wcielonego, jest tą różnicą. Boga, który „wszedł między lud ukochany, dzieląc z nim trudy i znoje”; aby historia nabrała znaczenia i celu, a życie każdego człowieka zyskało nieskończoną godność i wartość.

A świadomością tego nieskończonego faktu jest też istotą świat Bożego Narodzenia.

Jan Tokarski



NOSIŁ WILK RAZY KILKA — PONIEŚLI I WILKA

KRONIKA TYGODNIA

10 grudnia

W Sztokholmie odbyła się w obecności króla i królowej Szwecji oraz członków rządu uroczystość rozdania nagród Nobla. Nagroda literacka, przyznana sowieckiemu pisarzowi Pasternakowi, nie została wręczona, gdyż, jak wiadomo, Pasternak pod naciskiem swego rządu odmówił przyjęcia.

Ojciec Facyński z Tomaszowa skazany został w Polsce na 2 lata więzienia za „szerzenie propagandy antypaństwowej”.

11 grudnia

Sowiecka agencja Tass podała, że rząd sowiecki gotów jest odbyć rozmowy w ramach czterech mocarstw w sprawie zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Rząd sowiecki odrzuca sugestie Zachodu w sprawie wolnych wyborów w całych Niemczech, nazywając ją „zwyrodniałą demagogią”.

W Kairze zakończyła się afro-azjatycka konferencja gospodarcza. Jedną z uchwał mówi o powołaniu do życia „afro-azjatyckiej organizacji współpracy gospodarczej”.

12 grudnia

W ONZ przyjęto 54 głosami przeciw 10 rezolucje potępiające uciek i terror na Węgrzech, postanawiając jednocześnie nadal uważnie śledzić rozwój wydarzeń w tym kraju. Przeciwno rezolucji głosowało 9 państw bloku sowieckiego oraz Jugosławia.

Dr Lisi, który leczył śp. zmarłego Papieża Piusa XII i był obecny przy jego śmierci, został skreślony z listy lekarzy przez oddział związku lekarzy w Rzymie. Decyzja podjęta została na podstawie dowodów, z których wynikało, że prof. Lisi z chęci zysku sprzedał pewnemu pismu włoskiemu informacje, w których przedstawiał szczegółowo śmierć Papieża. Tym postępowaniem naruszone zostało „dobre imię zawodu lekarskiego”.

W. Brytania udzieliła Jugosławii pożyczki w wysokości 3 milionów funtów.

13 grudnia

Gen. de Gaulle zgodził się kandydować na prezydenta Francji.

Rosja Sow. wysunęła propozycję odbicia rozmów „na szczycie”. Propozycja wysunięta została w przeddzień rozpoczęcia w Paryżu obrad ministrów spraw zagranicznych mocarstw zachodnich, należących do NATO.

14 grudnia

W Paryżu rozpoczęły się obrady ministrów spraw zagranicznych państw NATO: W. Brytanii, Stanów Zjedn., Francji i Niemiec Zach. Przedmiotem obrad jest m. in. sprawa Berlina. W wydanym po pierwszym dniu komunikacie stwierdzono, iż rządy tych państw nie zamierzają zrezygnować ze swych dotychczasowych praw w Berlinie.

W Zgromadzeniu Ogólnym ONZ nie uzyskał większości dwóch trzecich głosów projekt rezolucji uznający prawo Algierii do niepodległości.

Francuska Rada Ministrów zamianowała gen. Salana, dotychczasowego przedstawiciela generalnego rządu w Algierii Generalnym Inspektorem francuskiej sił zbrojnych. Jego miejsce zajmie 44-letni Delouvier, który będzie odpowiedzialny za władze cywilne w Algierii.

15 grudnia

Prasa brytyjska donosi, że Mao Tse-tung ma zrezygnować ze stanowiska prezydenta Republiki chińskiej a zachować jedynie funkcję sekretarza chińskiej partii komunistycznej.

Chruszczow oświadczył, że rolnictwo sowieckie nie wykonało ustalonych planów, co jest winą antypartyjnie nastawionej grupy Malenkowa, Bułganina, Kaganowicza, Molotowa i Szepilowa.

W związku ze skargą Izraela o naruszenie granicy przez Syrię Rada Bezpieczeństwa ONZ postanowiła całe zagadnienie przekazać Sekretarzowi Generalnemu ONZ Hammarskjöldowi, wybierającemu się wkrótce na Bliski Wschód. Na tajnym konsytorzu Papież Jan XXIII ogłosił nazwiska 23 nowych kardynałów.

Gen. de Gaulle konferował w Paryżu z amer. sekretarzem stanu Dullessem, biorącym udział w konferencji ministrów spraw zagr. państw NATO.

W Warszawie przebywa oficjalna delegacja rządu wschodnio-niemieckiego z Ulbrichtem na czele.

16 grudnia

Min. spraw zagr. W. Brytanii, Selwyn Lloyd, ma złożyć razem z ambasadorem bryt. w Paryżu, Sir Gladwyn Jebb, wizytę premierowi de Gaulle dla przedyskutowania problemów, które spowodowały wielką różnicę zdań między Francją a W. Brytanią. Już od wielu lat stosunki między tymi państwami nie były tak złe jak właśnie w tej chwili.

Minister spraw zagr. Chin komunistycznych, marsz. Chen Yi, oświadczył członkom korpusu dyplomatycznego akredytowanym w Pekinie, że komitet centralny chińskiej partii komunistycznej postanowił przyjąć decyzję Mao Tse-tunga, iż nie będzie kandydował na stanowisko prezydenta Republiki. Mao Tse-tung pozostanie jedynie przywódcą partii komunistycznej.

DEPEZA ZE SZWECJI NA 40-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Rada Trzech otrzymała następującą depeszę, którą wysłano na wniosek Szweda, prof. Birger Nermana, w czasie obchodu 40-lecia niepodległości Polski w Sztokholmie (p. „O.B.” nr. 50 858 z 11. 12. 58).

„Do Rady Trzech w Londynie: Polacy, Szwedzi, Białowie, Węgrzy, Czechosłowacy, Rumuni i inni, licznie zebrani dla uczczenia 40-lecia wskrzeszenia niepodległości Polski — przesyłają Radzie Trzech, stanowiącej najwyższą legalną władzę Polski, wyrazy czci i głębokiego uznania wraz z zapewnieniem o wdzięczności za wydatną pracę prowadzoną przez Egzekutywę, czyli Rząd Polski i jego przedstawicieli we wszystkich państwach wolnego świata.

Zgromadzeni wyrażają też głębokie przekonanie, że dalsza praca Rady Trzech i Egzekutywy doprowadzi do wielkiego celu pełnej i trwałej wolności Polski.

Sztokholm, w listopadzie 1958”.

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą w/g taryfy, płatna z góry). Zamówienia i należności przyjmuje: W. BRYTANIA: „Gryf”-Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London S. W. 11; miesięcznie 6/4, kwartalnie 16/6, rocznie £30.0; Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie fr. 25, kwartalnie fr. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky — 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles; wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — W FRANCJI, franków fr.: miesięcznie 200, kwartalnie 600, rocznie 2400; „Libella” Liblarie, 12, rue St. Louis en l'Isle, Paris IV, nr konta pocztowego Paris cc 565150. — W HOLLANDII, mies. fl. 2.00, kwart. 5.50; wpłacać przez poczt.: Fr. Malecki, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Velsen(L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk, (13b) München 45. Telefonstrasse 7/I. — W NORWEGII: koron, mies. 4 kwart. 10, półrocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Postbox 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35, rocznie 120 esc.; A. Zieliński, Lisboa Central Caixa Postal Nr. 119. — W SZWAJCARII, fr. szw. mies. 2.00, kwart.

5.50; Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève. — W SZWECJI, koron: mies. 3.60, kwart. 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — W WŁOSZECH, lirów, kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combatt. Polacchi, Via Licia 19-9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTynie: Cena egz. 7.50 peso, pren. kwart. 97.50 peso; Tadeusz Dabrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires. — W BRAZYLII: kwart. \$4.00, rocznie \$8.00; Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney; „Spolem”, 64, Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; kwart. £1.00A rocznie £3.150A. — W KANADZIE: L. Doborzynska, 955, Hartland Avenue, Montreal, Que. — rocznie \$8.00; W POLUDNIOWEJ AFRYCE: kwartalnie — 15/-, rocznie — 57/-; Prenumeratę przyjmuję bezpośrednio „Gryf” Publication Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna — \$2.10, półroczna — \$4.00; Przedstawicielstwa: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno”, 28471 Ventura Boulevard, Agoura

P. O. Box 113, California; „Gryf”, W. Bieńkowski, 296, Sheridan Ave., Albany N. Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. „Księgarnia Ludowa” J. Zukowski, 5347, Chene St., Detroit 11, Mich.

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez 14 dni £1.50. Przyjmuje GRYF PUBL. LTD 171, Battersea Church Rd., London S. W. 11 Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London W. C. 2. lub Odra Press Ltd., 3 Beaufort Gdns., London S. W. 3.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji „Orla Białego”: 31a Dean Road, London, N. W. 2. Telefon: WILlesden 6920. Adres Administracji: „Gryf”-Publications Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, telefon: BA Tersea 1445.